◆ CZESŁAW MIŁOSZ – Pablo Neruda ◆ EFFENDI KAPIJEW – Powołanie poety ◆



ODRODZENIE

TYGODNIK

Nakład: 40.000
Redakcja: Daszyńskiego 16
Administracja: Daszyńskiego 14
Cena 25 zł

Rok V | Warszawa, dnia 2 maja 1948 r. | Nr 18 (179)

BOHDAN CZESZKO

rysunki MARII HISZPAŃSKIEJ

SYNOWIE

Po pracy wracałem ze Stasiakiem do domu. Mieszkaliśmy wówczas u gospodarza nazwiskiem Makuch i tak się zdarzyło, że kwaterowaliśmy u niego już do końca popowstaniowej tułaczki. Po ciemku brnęliśmy w czarnym błocie pomiędzy opłotkami. Lampka paliła się tak ciemno u Makuchów, że w mroku nie widać było nawet okna chaty. W izbie mieliśmy swój kąt pomiędzy szafą a piecem. Długo w noc przewracaliśmy się na śliskich, papierowych siennikach, wszy bowiem pobudzone ciepłem, nie dawały zasnąć i dławił nas po czystym powietrzu pól kwaśny zaduch izby. Poza tym Makuch rzęził głośno, zasypiając w pozycji wpół siedzącej — był chory na astmę. Dręczył mnie odgłos jego spazmatycznego oddechu i z początku, gdy leżałem w ciemnościach, na przemian złościłem się i litowałem nad nim. Później jednak przywykłem i nie sprawiało na mnie to większego wrażenia, niż odgłos blaszanego zegara, który ćwierkał mi nad głową.

Gospodarze nasi byli bardzo ubodzy. Piekli tylko raz chleb za czasów naszego pobytu u nich, a to z okazji Bożego Narodzenia. Jedli go później tak jak hostię i zachwycali się jego przedziwnym smakiem. Później Makuchowa z dumą i troską układała bochny na półce, biegnącej w poprzek pod powałą izby, dla ochrony przed myszami.

Oni miesiącami nie jedli chleba. Żywili się kartoflami. Obierzyny od kartofli zeżerał koń, siwy, posępny stwór o zmierzwionej sierści i mętnym wzroku. Gospodarz podnosił co rano zwierzę z ziemi, przemawiając doń łagodnie i zaprzęgał do rozklekotanej furki, aby odrobić którąś tam z kolei podwodę. Koń Makucha, który nie miał już nawet tyle sił, aby spać na stojący, był taki, jak ich całe życie, to znaczy gospodarstwo. Odnosiłem wrażenie, że wstają co rano po to, aby spędzić dzień w bezładnej szarpaninie z przedmiotami. Ziemi mieli dwa hektary. Żytko na niej rosło maleńkie o długich, ostrych wąsach. Makuch już dawno przestał pracować w odległej o kilka kilometrów fabryce chemicznej. Przestał, gdy opary kwasów do reszty zamieniły jego płuca w miękką rdzę. Pracę po nim objął syn. Był to chłopak dorodny, stronił od wódki i nie nosił za cholewą noża. Cóż, kiedy powieszono go przed rokiem na telegraficznym słupie. Makuchowa zaniemogła od tego czasu ciężko na serce i nie mogła wykonywać cięższych prac domowych.

Kiedyśmy ze Stasiakiem przybyli w te strony i poczęliśmy szukać kwatery, napotykaliśmy wszędzie na tępą i milczącą niechęć. Makuchowie pierwsi nie przyjęli nas, tak, jakby wlokła się za nami dżuma. Kiedy Stasiak skończył swą przemowę, którą powtarzał przy tego rodzaju okazjach z uporczywością zaiste godną podziwu, Makuch wskazał nam kąt pomiędzy szafą i piecem, a Makuchowa dziwiła się przyjaźnie: — „Patrzajcie, z Warszawy panowie a jakie biedaki". — Dziwiła się bezustannie. Grymas zdziwienia przywarł na zawsze do jej nienaturalnie tłustej i bladej twarzy. Z półotwartymi ustami i podniesionymi brwiami wysłuchiwała oczywistych bredni, jakie wieczorami pleciół Stasiak, rozpowiadając o swych bohaterskich czynach w Kampinosie za czasów powstania. W rzeczywistości spełniał tam funkcję rakarza nieomal, asystując dowódcy kompanii, gdy ten strzelał z pistoletu wziętych do niewoli SS-manów. Stasiak był zjadliwie zezowaty i fakt ten z góry dyskwalifikował go jako żołnierza pierwszej linii. Był on z zawodu stolarzem i przeżywał pracując w Międzyborzach przy ciesiółce swoistą deklasację. Nie wiadomo bowiem, dlaczego uważał zawód ciesielski za coś niesłychanie wulgarnego i teraz, kiedyśmy szalowali szopę w ogrodzie okalającym dwór „Międzyborze" mawiał, wbijając obuchem siekiery gwoździe:

— Kiedy przykleję tych kilka deseczek, zejdę na dół i oheblujemy wówczas ten ramiak.

Wyglądało to w ten sposób, że ja posuwałem się rakiem wzdłuż olbrzymiego pnia, ociosując go do kantu toporem, a Stasiak wyrównywał za mną krawędź przy pomocy siekiery. Chwaliliśmy sobie tę robotę, było tu bowiem zacisznie. Wiatr, który dął bez przeszkody po rozległych, płaskich polach, tutaj szumiał jedynie w konarach czarnych drzew. U spodu panowała zielona od pleśni i biała od śniegu cisza. W parku stał rozkraczony ciężki budynek, który w okolicy nosił miano pałacu. Wedle określenia Stasiaka w domu tym hycel z powodzeniem mógłby uprawiać swe rzemiosło.

Zresztą i tak prawie nikt już nie mieszkał w pałacu. Na dole kwaterowało kilku oficerów Wehrmachtu (z ich to polecenia budowaliśmy w parku garaż), a dwa piętra zajmowały dziedziczka i jej córka. Nie widziałem ich nigdy z bliska. W niedzielę jedynie, goląc się, obserwowałem przez okno kryty powóz, wiozący je do kościoła. Dziedziczkę wyobrażałem sobie jako siwą, zmumifikowaną panią z pince-nez, jej córkę jako rachityczną dziewoję o płowych włosach i długich, niebieskich dłoniach. Wcale jednak tak nie było. Zapoznałem się z nimi bliżej już po Bożym Narodzeniu. Siedzieliśmy ze Stasiakiem na krokwiach i kryliśmy dach garażu. Stasiak zdjął w pewnej chwili czapkę. Spojrzałem w dół między krzewy. Osypując szklane igiełki śniegu, szły z głębi ogrodu dwie niewiasty. Obydwie tęgie i wysokie, a młodsza w okularach. Rozmawiały po francusku, a z ust ich wydobywała się para oddechów, osiadając szronem na kołnierzach. Ponieważ później znacznie niż Stasiak zdjąłem kapelusz, zwróciło to zapewne uwagę pań. Przy-



stanęły patrząc na nasze dzieło z należną mu obojętnością. Starsza wsparła się na lasce (laskę jednak miała) i powiedziała natężając nieco głos:

— Jak widzę, skończyliście swoją pracę. Ciekawa jestem, kto będzie to po was rozbierał?

Zdziwiła mnie nieco jej odwaga. Pojąłem, że uważa nas za intruzów i pragnie w ten sposób okazać nam swe lekceważenie. Skłoniłem się zatem z uśmiechem i odparłem, akcentując słowa tak, aby brzmiały jak najbardziej dystyngowanie:

— Łaskawa pani pozwoli, że ten fragment pracy pozostawimy do wykonania jej lokatorom z parteru.

Stasiak spojrzał na mnie tak, jakbym nagle wyjął z kieszeni żabę i połknął ją z mlaśnięciem. Nigdy bowiem nie spowiadałem mu się ze swej inteligenckiej przeszłości, a w ciągu lat pracy w stolarskim warsztacie język mój schropowaciał i przystosował się do roboty tak, jak i naskórek na moich dłoniach.

Odezwanie się moje sprawiło należyty efekt. Panie popatrzyły po sobie ze zdziwieniem i uśmiechnęły się. Młodsza z pań Stanickich spytała, czy jesteśmy warszawiakami. Odparłem, że istotnie mamy ten wątpliwy zaszczyt.

— Czemu „wątpliwy"? — Młodsza uniosła brwi wysoko ponad okularami. — To piękna karta w historii naszych walk o wolność — warszawskie powstanie.

„Walk o wolność" powiedziała ciszej z modlitewnym przydechem. Zapytała jeszcze o nasz udział w walkach powstańczych. Sformułowała to pytanie bardzo oględnie, ale o to jej chodziło. Odpowiedziałem równie oględnie, że nie czas i miejsce po temu, aby snuć aż tak dogłębne wynurzenia. Panie skinęły ze zrozumieniem głowami i odeszły w strony swego secesyjnego zamku, potrącając gałęzie krzewów. Słowa „dogłębne" użyłem z całą świadomością, aby im dać do zrozumienia, że czytywałem Żeromskiego. Zez Stasiaka stał się przenikliwy jak świder, gdy patrzył na mnie w chwilę później.

— Słyszałeś wszarzu? — zaskrzypiał przeziębionym głosem — „karta w historii walk o wolność" — starał się nieudolnie powtórzyć intonację młodszej dziedziczki. — Naplułbym tej dziwce na jej rower na perkatym nosie. Dobrze jej się gada, jak prześmierdziała całą wojnę w tym kącie dechami zabitym. — Łupnął z zajadłością obuchem siekiery w wystający łepek gwoździa.

— A ty czego z siebie małpę robisz? — odwrócił się do mnie zaczepnie. — Wygłupiasz się, dusery prawisz, jakbyś u fryzjera praktykował.

— Stasiak, miałeś ty kiedy kota w domu — spytałem po chwili.

— Miałem — odparł, wzruszywszy ramionami.

— Wołałeś na niego „kici, kici".

— No...

— A na siwka Makuchowego, jak wieziesz ukradzione drzewo, to wołasz hetta, wiśta.

— No...

— No to widzisz — konkludowałem. — Do każdego rodzaju bydlęcia trzeba się odzywać w zrozumiałym dla niego języku...

— Na tym polega inteligencja — dodałem z wahaniem, nie będąc pewien, czy mówię prawdę.

W porze obiadu zeszliśmy, jak zwykle, do kuchni, mieszczącej się

(Dokończenie na str. 6)



Bronisław W. Linke — Mur

PAWEŁ ANTOKOLSKI

DO INTELIGENTA POLSKIEGO

Nie baśń, lecz prawdę dziś opowiem
Polskiemu inteligentowi —
Nie takie dawne to znów lata:
Pod jednym płaszczem — bratnie dusze,
Dwaj demokraci, dwaj geniusze,
Spotkali się dla wiecznych wzruszeń,
Gdzie Piotr spiżowy w cwale wzlata.

Wiek się zaczynał. Grom żelazny
Zagłuszał „Marsylianki" spazmy;
— Ten wiek nie lekkie dźwigał brzemię.
Nim ścichły echa burz stokrotne,
Już tych młodzieńców dusze lotne
Pojęły, że w żelaznym kotle
Wre wolność, co ma zalać ziemię

Mickiewicz. Puszkin. Oto znowu
Rozlega się ich wolne słowo
Nad piekłem Europy srogiem.
Oto bez trwożliwego dreszczu
Patrzą ci dwaj przez mrok złowieszczy.
Więc — Polska nie zginęła jeszcze
I nie jest kraju mego wrogiem!

Przełożył z rosyjskiego Jerzy Pomianowski

RAFAEL ALBERTI

UPIÓR KRĄŻY PO EUROPIE*)

...i starożytne rodziny zamykają okna,
wzmacniają drzwi i zamki,
ojciec śpieszy tajemnie do banku,
na giełdzie aż puls mu zamarł...
A potem śni o stosach,
o płonących trzodach śni nocami,
i że zboża mają płomień w kłosach
a zamiast ziarnem — sypią skrami.

Widzi kasy —
żelazne kasy — z robakami —
Gdzieżeś jest?
Gdzieżeś?
Strzelają, strzelają za nami!
Och!...
Chłopi nurzają się w kałużach naszej krwi.
Co to?!

Z a m k n i j m y,
zamknijmy granice co prędzej!
Patrzcie, już się zbliża,
z wschodnim wiatrem pędzi,
od tamtych, czerwonych, głodnych stepów idzie.
Niech jego głosu robotnicy nie posłyszą!
Niech jego gwizd do fabryk nie wtargnie!
Niech nie ujrzą ludzie ze wsi wzniesionego sierpu
Zatrzymać go —
Bo przesadza morza i oceany
przebiegając całą geografię wszerz i wzdłuż,
bo się ukrywa pod pokładami,
wyciąga na wierzch palaczy zbuntowanych
i każe nienawiści i nędzy się burzyć,
każe się buntować marynarzom

Z a m k n i j c i e!
zamknijcie dobrze więzienia!
Ich głos się o mury rozbije.
Co to jest?
Kto?!

Ale my za nim idziemy,
wschodni wiatr go nam przynosi.
Pytamy go o czerwone stepy tryumfu i miłości,
sadzamy u stołu biednego wieśniaka,
każemy prowadzić strajki i manifestacje,
każemy rozmawiać z żołnierzami i marynarzami,
odwiedzać w biurach drobnych urzędników
i zaciskać pięści krzycząc w parlamentach ze złota i krwi.

Upiór krąży po Europie,
przebiega świat...
My go nazywamy Towarzyszem.

Przełożyła z hiszpańskiego Zofia Szleyen

*) Pierwsze słowa „Manifestu Komunistycznego".

CZESŁAW MIŁOSZ

PABLO NERUDA

Przekłady

ALBERTO ROJAS JIMENEZ PRZYBYWA LECĄC

Między trwożliwe pióra, między noce.
Między magnolie, między telegramy,
Między wiatr południowy i morski wiatr z zachodu,
przybywasz lecąc.

Niżej niż groby, niżej niż popioły,
Niżej niż zamarznięte ślimaki,
Niżej niż głębokie podskórne wody,
przybywasz lecąc.

Jeszcze niżej, wśród utopionych małych dziewczynek
I ślepych roślin i zepsutych ryb,
Jeszcze niżej, znowu pomiędzy chmurami,
przybywasz lecąc.

Dalej niż krew, dalej niż kości,
Dalej niż chleb, dalej niż wino,
Dalej niż ogień,
przybywasz lecąc.

Dalej niż ocet i śmierć,
Między zgnilizną i fiołkami,
Ze swoim głosem niebiańskim, w mokrych butach
przybywasz lecąc.

Ponad deputacje i apteki,
I koła i prawników i okręty,
I czerwone zęby świeżo wyrwane,
przybywasz lecąc.

Ponad zatopione dachy miast
Gdzie duże kobiety rozczesują włosy
Szerokimi rękami i zgubionym grzebieniem,
przybywasz lecąc.

Koło piwnicy gdzie wino dojrzewa
W ciepłych dłoniach pełnych osadu,
W powolnych dłoniach z czerwonego drewna,
przybywasz lecąc.

Pośród lotników którzy nie wrócili,
Koło kanałów, koło cieni,
Koło pogrzebanych białych lilii,
przybywasz lecąc.

Między butelki gorzkiego koloru,
Między krążki anyżu i nieszczęście,
Podnosząc ręce i płacząc,
przybywasz lecąc.

Ponad dentystów i kongregacje,
Ponad kina, uszy i tunele,
W nowym ubraniu, ze zgaszonymi oczami,
przybywasz lecąc.

Ponad twój nieogrodzony cmentarz
Gdzie żeglarze gubią drogę,
Kiedy pada twoja śmierć jak deszcz,
przybywasz lecąc.

Kiedy deszcz twoich palców pada,
Kiedy deszcz twoich kości pada,
Kiedy twój szpik i twój śmiech pada,
przybywasz lecąc.

Ponad kamienie w które się roztapiasz
Płynąc w dół zimy i w dół czasu,
Kiedy twoje serce w dół spływa kroplami,
przybywasz lecąc.

Nie jesteś tutaj, otoczony cementem
I czarnymi sercami notariuszy
I oszalałymi kośćmi kawalerzystów:
przybywasz lecąc.

O maku morski, o mój serdeczny,
O gitarzysto ubrany w pszczoły,
To nieprawda ten cień w twoich włosach:
przybywasz lecąc.

To nieprawda że ten cień idzie za tobą,
To nieprawda te wszystkie nieżywe jaskółki,
Cała ta mroczna kraina lamentu:
przybywasz lecąc.

Czarny wiatr z Valparaiso
Otwiera skrzydła z dymu i piany
Aby zamieść niebo tam gdzie przechodzisz:
przybywasz lecąc.

Oto parowce i chłód martwego morza,
I gwizdki i miesiące i zapachy
Deszczowego ranka i brudnych ryb:
przybywasz lecąc.

Tutaj jest rum i ja i ty i moja dusza w której płaczę,
I nikogo i nic, tylko schody
Z połamanymi stopniami i parasol:
przybywasz lecąc.

Tutaj jest morze. Schodzę w nocy i słyszę
Jak lecisz pod pustym morzem,
Pod morzem które mieszka we mnie w ciemności:
przybywasz lecąc.

Słyszę twoje skrzydła i twój lot powolny
I woda umarłych mnie uderza
Jak ślepe mokre gołębice:
przybywasz lecąc.

Przybywasz lecąc sam, samotny,
Sam pośród umarłych, sam na zawsze,
Przybywasz lecąc bez cienia bez imienia,
Bez cukru, bez ust, bez krzaków różanych,
przybywasz lecąc.

OD TŁUMACZA

Utwory, które podaję pochodzą z różnych faz twórczości największego dzisiaj poety Ameryki Południowej, a jak twierdzą niektórzy, największego poety obu Ameryk. Wiersz „Alberto Rojas Jimenez przybywa lecąc" został napisany w r. 1931. Wtedy to umarł młody poeta i krytyk chilijski, przyjaciel Nerudy i wiersz powstał z tej okazji. Wiersze „Almeria" i „Zniewążone ziemie" są częścią tomu „Hiszpania w sercu" który przedstawia nadzieję, zwycięstwa i klęski ludowej Hiszpanii z czasu wojny przeciwko faszyzmowi (Neruda był wtedy konsulem chilijskim w Madrycie). „Serce Magellana" pochodzi z ostatniego okresu. Jest to poemat o ojczyźnie Nerudy, ściślej o jej najbardziej na południe wysuniętym krańcu — Ziemi Ognistej i wodach Cieśniny Magellana, oraz o przeszłości — o pierwszych odkrywcach, którzy w początku XVI-go w. po raz pierwszy żeglowali dokoła lądu amerykańskiego od południa. Neruda w ciągu ostatnich kilku lat podróżował dużo po Chile, co łączyło się z jego pracą polityczną. W liście do tłumacza, rok temu, donosił m. in. o miesiącu spędzonym na pustyni nitratowej na północy Chile i o dłuższym pobycie w Ziemi Ognistej.

◆

SERCE MAGELLANA

Budzę się nagle w nocy, myśląc o dalekim Południu.

Skąd jestem, pytam siebie czasem, skąd u diabła
przychodzę, jaki dzień jest dzisiaj, co się dzieje,
szorstko w środku snu, drzewa, nocy,
kto to, pytam, i idę i w drzwiach staję, sam,
i fala podnosi się jak powieka, dzień
rodzi się z niej, błyskawica z pomrukiem tygrysa.

Dzień przychodzi i mówi mi: „Czy słyszysz
wodę powolną, wodę,
wodę
nad Patagonią?"
I odpowiadam: Tak panie, słyszę.
Dzień przychodzi i mówi mi: „Dzika owca
daleko, w głuszy, liże zamarznięty kolor
kamienia. Czy nie słyszysz jak beczy, nie poznajesz
niebieskiej zamieci w której rękach
księżyc jest kubkiem, czy nie widzisz stada,
wrogiego palca wichru co dotyka
fali i życia swoim pustym pierścieniem?"

Przypominam samotność Cieśniny.

Długa noc, sosna idzie tam gdzie idę.
Głuchy kwas, utrudzenie, zacina
wieko beczułki, wszystko co mam w życiu.
Płatek śniegu płacze, płacze w moich drzwiach
pokazując swoje jasne, rozdarte ubranie
małej komety co szuka mnie [illegible]łka.
Niema nikogo ktoby widział wicher, obszar, wycie
powietrza na pastwiskach.

Zbliżam się i mówię chodźmy. Dotykam Południa,
dosięgam piasku, suchy czarny krzew
widzę, cały z korzeni i opoki,
wyspy szarpane przez wodę i niebo,
Rzekę Głodu, Serce Popiołu,
Pałac Złowrogiego Morza, aż tam
gdzie syczy samotny wąż, gdzie grzebie
ostatni ranny lis i chowa swój krwawy skarb.
Spotykam burzę i jej głos pękania,
jej głos jak starej książki, jej głos tysiąca ust
opowiada mi coś, coś co powietrze
każdego dnia na nowo pożera.

Odkrywcy zjawiają się i nic z nich nie zostaje.

Woda pamięta wszystko co stało się z okrętem.
Twarda obca ziemia strzeże ich czaszek
które dźwięczą w antarktycznej wiejbie jak kornety,
i oczy człowieka i wołu dają dniowi swoją próżnię,
swój pierścień, swój dźwięk nieugiętego czuwania.
Stare niebo wygląda żagla,
nikt
nie przetrwał: rozbity okręt
leży z popiołem gorzkiego marynarza
i ze złotych słupów, ze skórzanych
przegród chorej pszenicy, z zimnego
płomienia morskich podróży
(jaki łomot w nocy, skały i okręt, na dnie!)
została wypalona kraina bez ciał,
bezustanna pustka zaledwie skażona
przez czarny fragment
wygasłego ognia.

Tylko pustynia panuje.

Strefo niszczona powoli przez noc, wodę, lód,
obszarze w który bije czas i kres,
z jej fioletowym znakiem, z lazurową
podstawą dzikiej tęczy,
ojczyzna moja w twoim cieniu zanurza swe stopy
i zawodzi w agonii rozgnieciona róża.

Przypominam starego odkrywcę.

Po kanale żegluje na nowo
zamarznięte zboże, broda bitwy,
lodowa jesień, zraniony podróżny.
Z nim starożytnym, z nim umarłym,
z wydziedziczonym przez wściekłą wodę,
z nim, z jego rozpacza, z jego czołem.
Za nim albatros i lina rzemienna
zjedzona, oczy jego poza spojrzeniem,
i szczur pożarty, między złamanymi masztami,
ślepo patrzący na gniewną wspaniałość
kiedy w próżnię pierścień z palca, kość
padają, ześlizgując się po morskiej krowie.

Magellan.

Kim jest bóg który nas mija? Patrz na jego robaczywą brodę,
na jego spodnie które drze i kąsa
grube powietrze jak strącany pies.
Ma wagę wyklętej kotwicy jego postać
i gwiżdże nawałnica i wiatr północny przypada
do jego mokrych nóg.
Muszla z mroku,
cień czasu,
ostroga
przeżarta, stary władca nadbrzeżnej żałoby, gniazdo orle
bez genealogii, splamione źródło, nawóz
Cieśniny rozkazuje tobie
i za krzyż na twą pierś masz tylko krzyk
morza, biały krzyk, morskiego światła,
szponów, ze skoku w skok, żądła co zniszczało.

Dosięga Pacyfiku.

Bo złowrogi dzień morski kończy się któregoś dnia
i nocna ręka obcina, jeden po drugim, swe palce,
aż nie ma jej, aż rodzi się człowiek,
i kapitan odkrywa wewnątrz siebie stal
i Ameryka unosi swoją bańkę mydlaną
i brzeg unosi swoją bladą rafę
którą plami jutrzenka mętna od narodzin,
aż z okrętu dźwiga się krzyk i tonie
i znowu krzyk i świt rodzi się z piany.

Wszyscy umarli.

Bracia morza i wszy, mięsożernej planety,
czy widzieliście wreszcie pień masztu przygięty
w huraganie, czy kamień strzaskany
widzieliście pod śnieżnym obłędem zawiei?
Nareszcie macie wasz raj utracony,
nareszcie macie wasz klnący garnizon,
nareszcie wasze widma powietrzem przebite
całują na piasku ślad foki.
Nareszcie do waszych palców bez pierścienia
przychodzi małe słońce wyżyny, dzień martwy
drżący, w szpitalu kamieni i fal.

◆

ALMERIA

Danie dla biskupa, pokruszone i gorzkie danie,
danie z resztek żelaza, z popiołu i łez,
danie soczyste, ze szlochów, z rozwalonych ścian,
danie dla biskupa, krwawe danie z Almeria.

Danie dla bankiera, danie z policzków
dzieci szczęśliwego Południa, danie
z detonacyj, z szalonych wód, z ruin i grozy,
danie z połamanych osi i zdeptanych głów,
czarne danie, krwawe danie z Almeria.

W każdy ranek, w każdy mętny ranek życia
będziecie mieli je dymiące, gorące na stole:
odepchniecie je zlekka waszymi miękkimi dłońmi
aby go nie widzieć, aby nie trawić na nowo,
odepchniecie je z lekka, między chleb i winogrona,
to danie z milczącej krwi
które będzie tam każdego ranka, każdego
ranka.

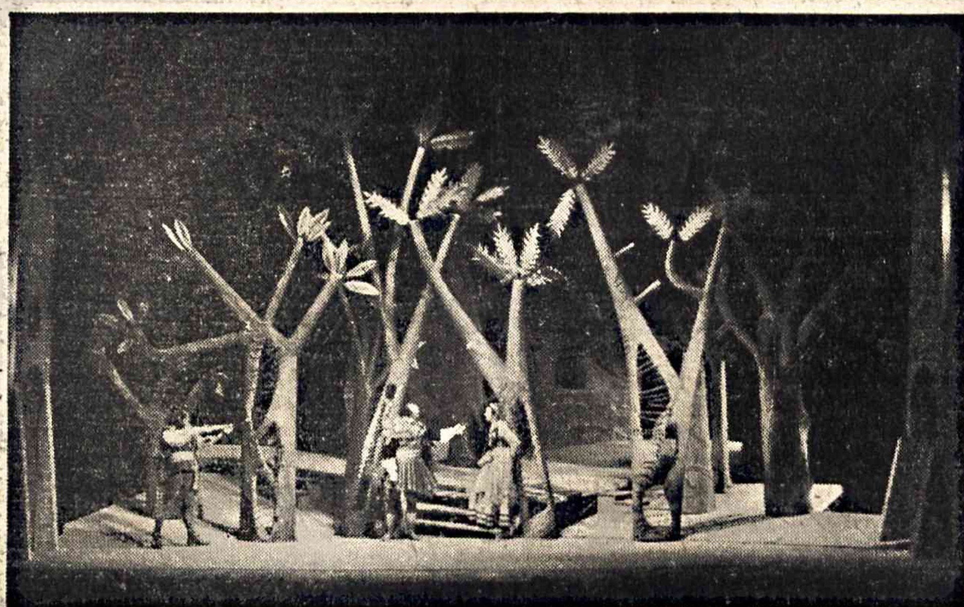
Danie dla pułkownika i pułkownikowej
na święcie garnizonu, na każdym święcie,
nad przekleństwami i pluciem, w jasnym świcie barwy wina,
abyście widzieć je mogli drżące i zimne nad światem.

◆

ZNIEWAŻONE ZIEMIE

Krainy pogrzebane
w nieskończonym męczeństwie, w nieprzerwanej
ciszy, puls
pszczoły i zdławionej skały,
ziemia co zamiast koniczyn i pszenic
nosi znamię zbrodni i krwi.
Bujna Galicja, czysta jak deszcz,
posolona po wieczny czas łzami.
Extremadura, na której sławnym brzegu
z nieba i aluminium, czarne jak ślady kul,
zdradzone, ranne, rozbite
leży Badajoz, bez pamięci, między swymi martwymi synami,
patrząc na niebo, co pamięta.
Malaga orana przez śmierć
i ścigana pomiędzy przepaście
aż oszalałe matki rozbijały
swoje narodzone o kamienie.
Furia, lot żałoby
i śmierć i gniew,
aż łzy i ból są zjednoczone.
aż słowa i wściekłość i zwątpienie
są już nie więcej niż garstką kości na drodze
i kamieniem okrytym przez pył.

Tak wiele mogił, tak wiele męczeństwa, tak wiele
galopu bestji na gwieździe!
Nic, nawet zwycięstwo
nie przekreśli tej straszliwej jamy z krwią.
Nic, ani morze, ani przelot
piasku i czasu, ani geranium płonące
nad grobem.



Scena w lesie



Marta Stebnicka (Królowa Izabella) Olgierd Jacewicz (Król Ferdynand)



Scena zbiorowa z obrazu XII

TADEUSZ BREZA

OWCZE ŹRÓDŁO

1

Pod koniec ubiegłego sezonu odbyło się w Warszawie zakończenie konkursu szekspirowskiego. Wytypowany do pierwszej nagrody teatr katowicki Bronisława Dąbrowskiego odszedł z kwitkiem, pokonany przez „Teatr Wybrzeża" Iwona Galla i „Teatr Wojska Polskiego" Leona Schillera Wkrótce po tych finałach nastąpiły przesunięcia: Dąbrowski objął teatry krakowskie. W ciągu jesieni i zimy pokazał kilka znakomitych widowisk. Prasę miał świetną, frekwencję niezwykłą. Ale pamięć o przegranej nie dawała mu spokoju. Postanowił świat zadziwić.

Zamiejscowi czytelnicy krakowskiego „Dziennika Polskiego" i „Dziennika Literackiego" od kilku tygodni dokładnie byli orientowani, że w połowie kwietnia zajdzie na deskach „Teatru im. Słowackiego" ewenement. „Dziennik" podawał reportaże z prób. Po ostatniej obwieścił, że „poemat dramatyczny „Owcze źródło", dzieło doświadczonej ręki naczelnego dyrektora Dąbrowskiego, wspaniałą grą artystów, doskonałą wystawą dekoratorską i nieporównanym wysiłkiem wszystkich w teatrze wzbudził entuzjastyczny zachwyt zaproszonych na próbę gości. W środku widowni przy przyciemnionej lampie, reżyser Dąbrowski skrzętnie notował wrażenia, by je następnie przekazać tym wspaniałym postaciom na scenie. „Owcze źródło" będzie najwspanialszym i najdoskonalszym wydarzeniem teatralnym w odrodzonej Polsce".

Miejscowi ponadto znali krążące plotki. Zarówno na temat magistrackich czynników przerażonych liczbą milionów, które miała pochłonąć wystawa, jak i na temat innych czynników zaniepokojonych pokaźną cyfrą mieczy, puklerzy i hełmów, które kazał dla „Owczego źródła" kuć Pronaszko. Zawszeć to broń! Zanim rozlepiono afisze, miasto znało na pamięć obsadę. Całe szczęście! Bo chociaż późniejsze afisze przedstawiały się imponująco, ich litery tłoczone złotem na tle bordo wypadły bardzo nieczytelnie. Ale nikt się w nich nie zamierzał rozczytywać. Dla ludzi w Krakowie znaczyły że już! Że znowu jedno z wielkich widowisk gotowe. Jedno z tych, które dotąd wprawiało miasto w gorączkę. Trzecie z rzędu po „Synu marnotrawnym" i „Wieczorze Trzech Króli". Po tym słynnym „Wieczorze", słynnym z tego, że ściągnął do teatru 75.000 osób. Co czwartego mieszkańca Krakowa!

Przyjechałem dziś. Obiad jem na mieście, zajrzałem do kilku sklepów, wstąpiłem na kawę, do pewnego biura. Wszędzie to samo: „Owcze źródło". Przy stoliku obok toczy się rozmowa; ekspedientka każe mi czekać, chcąc zatelefonować; urzędnik kiwa palcem do interesanta, który stoi w ogonku o dobre kilka osób za mną. Co u licha? „Owcze źródło". Mój sąsiad z kawiarni, ekspedientka urzędnik szukają sposobów, żeby się dostać na próbę generalną, albo jutro na prapremierę. Czy też chociaż na niedzielę. — „Przecież będą to grać i grać!" — powiadam. — „No tak, ale człowiek jest ciekaw — mówi ekspedientka. — Takie halo koło tego!"

Wieczorem zbliżam się do teatru. Dzisiaj z powodu próby generalnej przedstawienie zawieszone. Foyer ciemne, hall ciemny. Przed teatrem tłumy. Czeka ze dwieście osób. Różnych ludzi, którym ktoś z dyrekcji czy z zespołu obiecał, że ich wprowadzi na próbę. Sterczą tutaj pełni nadziei, że wejdą na salę, kiedy się skończą zdjęcia. Wiedzą, na którą z odsłon teraz przyszła kolej. — „Teraz fotografują ten łeb Leszczyńskiego, który Rysiówna obnosi na kiju!" Mijam ich. Pewnym krokiem zdążam ku wejściu dla aktorów. Przedzieram się przez sporą grupkę ludzi. Pukam, wyjaśniam, zupełnie bez skutku. Uprzytamniam portierowi, że jestem recenzentem. Nic z tego! Powiadam, że jestem zaproszony przez samego dyrektora Dąbrowskiego. Nie pomaga! Powołuję się na moją znajomość z innymi dyrektorami: Woźnikiem i Kramarskim. Nie pomaga! Gubię się, i zapewniam, że przychodzę z polecenia autora sztuki, tego Freya Lopego Feliksa de Vega Carpio z bordowego afisza. Nie pomaga. Na szczęście dostrzega mnie tłumacz sztuki: Ludwik Hieronim Leliwa Mondenstern hrabia Morsztyn de Morstin. Pomaga. Wprowadza. Na scenie zdjęcia. Na widowni ze sto osób, którym już się udało wśliznąć. W godzinę potem na sali komplet. Siedzimy do pierwszej. Następnego dnia prapremiera. Po zakończeniu znowu grupki przed teatrem. Ludzie nie mogą się rozstać. Placem św. Ducha, Szpitalną, Pijarską pojazdy posuwają się krok za krokiem. Widzowie doskakują sobie do oczu. Dzielą się i dzielą wrażeniami. Czyste Oberammergau!

Ja też się dzielę. Należę do tych, którzy widowisko przyjęli jako ewenement. Wykłócam się o nie przez godzinę. I następnego dnia przez całe popołudnie. Wieńczę je nimbem, mimo wielu zastrzeżeń. Jeden z moich rozmówców — taki Chanteclair teatrów krakowskich, Chanteclair po klapie, rozgoryczony, że sceny teatrów kręcą się i sztuki idą bez względu na to, czy on pieje z zachwytu czy się pieni — rzuca się na mnie: — „Przyznałeś, że w spektaklu są błędy, a mimo to upierasz się, że jest wydarzeniem. Ty sobie urabiasz sąd o widowisku opierając się nie tylko na tym, co widzisz na scenie i słyszysz ze sceny, ale również na tym, co widzisz i co słyszysz na mieście!" — Przyznałem mu rację. — „Rzeczywiście! Urabiam sobie". — I gotów jestem wystąpić w obronie tego stanowiska.

2

Lope de Vega! Wielkie nazwisko! Któż nie słyszał? Ale kto czytał? U nas na scenie nikt żadnego de Vegi nie oglądał. Chyba że w Paryżu natknął się w teatrze na któreś z jego arcydzieł albo w Moskwie, gdzie niedawno wystawiono właśnie to „Owcze źródło". Cóż za postać—jego autor Hiszpan, rówieśnik Szekspira, żołnierz, polityk, ojciec dzieciom, ślubnym i nieślubnym, przez ćwierć wieku ksiądz katolicki, autor ośmiuset komedii i pięciuset dramatów, nie licząc dobrych kilku tysięcy utworów innych rodzajów. Pewną sztukę, którą za naszych dni Edward Boyé tłumaczył przez całe lata, Vega machnął w ciągu trzech dni. Nieraz zrywał się i zanim mu podano pierwsze śniadanie już gotów był z jednym aktem. Romaniści zapewniają, że mimo tempa utwory jego nie tracą na jakości. Ot, zatem poprostu był z niego taki stachanowiec pióra, który o kilkaset procent przekroczył normę zdawało by się niewzruszalną dla literatów. Wszystkie jego dzieła są, zgodnie z opinią znawców, genialne. Niemniej przeto gra się z nich zaledwie kilka. Nikt nie wie dokładnie, czemu akurat te a nie inne. Ale temu nie należy się dziwić, bo — jak słusznie powiada Morstin — „żaden człowiek, który ma jeszcze w życiu inne zajęcia, nie jest w stanie całości dorobku de Vegi przeczytać i krytycznie ocenić".

„Owcze źródło", zdaniem de Vegi komedia bohaterska, jest utworem na pierwszy słuch niesłychanie naiwnym. Poza jego dziecinnym frontonem, pełnym łatwizn i niekonsekwencji, dopiero po wyjściu z teatru zaczynają się nam ukazywać perspektywy poważne i sceptyczne, ale Bóg jeden wie, czy na pewno wywoływane w nas siłami samego autora. „Owcze źródło" jest sztuką o skromnej wiosce, która ma okrutnego pana. Gwałciciela i intryganta, zabijakę i komandora rycerskiego zakonu. W prologu sztuki to on, komandor Fernand, skłania wielkiego mistrza zakonu, Don Rodryga, do buntowniczej wyprawy, idącej na rękę królowi Portugalii, a przeciw interesom króla Ferdynanda i królowej Izabelli. Wyprawa zrazu się udaje, ale potem nie. Komandor powraca do swojej wioski i to właśnie w dniu, kiedy cała wieś bawi się na weselu Laurencji i Frondosa. Laurencji, miejscowej panienki, która wielokrotnie odtrącała zaloty komandora, i Frondosa, który pewnego dnia obronił swoją Laurencję przed komandorem, grożąc mu strzałą z łuku. Teraz widząc ich przy sobie, komandor z wściekłością rozpędza wesele. Laurencję porywa dla siebie, Frondosa skazuje na śmierć. Ale Laurencja się wymyka, podburza miasto, kto żyw pędzi zdobywać zamek komandora, mężczyźni w pierwszym szeregu, a kobiety swoją drogą pod wodzą Laurencji, na której komandor zdążył tylko poszarpać szaty. Komandor pada zabity, wraz z nim giną jego zausznicy, prócz jednego, który uchodzi cało z obieży i udaje się na dwór. Na dwór portugalski? Nic podobnego! Na najbliższy dwór królewski, tak jakby na najbliższy posterunek milicji, na dwór Izabelli i Ferdynanda. Tu błaga o pomstę. Przecie to chłopi i mieszczanie zabili rycerza! Nic, że ten rycerz był buntownikiem, że był wasalem, który wojował przeciw królowej i królowi. To sprawa pomiędzy dworem a rycerzem. Ludowi zaś jest przykazane ślepo słuchać swego bezpośredniego pana. W Owczym Źródle zjawia się inkwizytor, aby przeprowadzić śledztwo. Wydaje na mękę trzysta osób. W końcu macha ręką na swoją robotę: — „Zawzięte miasto! Nawet od dzieci dziesięcioletnich, które moi ludzie na próżno katują, nie można się prawdy dowiedzieć!" — Owcze Źródło nie chce się przyznać kto zabił komandora. Za tę zbrodnię wszyscy chcą odpowiadać razem. Ale ponieważ niepodobna wytracić całego pogłowia ludzkiego, zjeżdżają do miasteczka oboje królestwo i okazują Owczemu Źródlu łaskę. — „Ach, jacy oni piękni!" — woła ludność w uniesieniu. — „Niech żyją, żyją nam!" Mile tym ujęci monarchowie biorą gród pod swoją opiekę. I od tego dnia miasteczko ma pozostawać miasteczkiem królewskim. — „Póki się nie przekonam — powiada król Ferdynand — żeście się stali godni, bym wam dał nowego pana!" — I koniec!

Czy ten finał pisany był serio? Z całym namaszczeniem i pełnią wiary w królów, będących źródłem wszelkiej sprawiedliwości? Czy też po prostu wyrażał nastroje wszystkich tych wiosek prowincjonalnych i małych, dalekich miasteczek, ufnych od początku świata aż po dzień dzisiejszy w to, że na samej górze drabiny społecznej znajdują się ludzie sprawiedliwi i ludzcy, a tylko pośrednie stopnie zajmują źli panowie i okrutni urzędnicy. A może Lope de Vega wprowadził koronowaną parę dla własnego bezpieczeństwa i dla bezpieczeństwa sztuki? Mordowanie przez ludność własnego pana musiało być na ówczesne stosunki sceną raczej śmiałą. Może dla jej osłodzenia Hiszpan dosztukował swojej komedii taki prawomyślny finał. Taki sam finał, jaki w tym identycznym celu przypiął „Świętoszkowi" Molier. Ten słynny monolog oficera gwardii z V aktu, monolog, który współczesnym musiał się wydać szczytem wazeliniarstwa Ale wzamian za który Molier mógł wystawić swą sztukę. Może więc te same przyczyny leżą u źródła „owczych" wiwatów de Vegi.

Ale że drażniąco i naiwnie brzmią to pewne. Zwłaszcza, że następują bezpośrednio po scenie tortur. Świetnie napisanej. Bo w ogóle ten przerażająco płodny Hiszpan sprzed czterystu lat, to autor wspaniale dramatyczny. Szybki, nerwowy, przechodzący od sceny do sceny z błyskawiczną łatwością, jak stworzony dla współczesnych reżyserów, ze swoją żyłką do wielkich scen zbiorowych. Cóż to za kąsek dla reżysera na przykład to obnoszenie przez ludność głowy zabitego komandora na lancy! Albo to wesele zakończone łapanką! Albo ten przy „dźwiękach ponurych" — jak zaznacza sam de Vega — pochód inkwizytorów, spowiedników w kapturach, katów, rakarzy, biczowników, podsądnych w dziwacznych czapach, w łańcuchach! Wszystko zgodnie z fantazją i podług życzeń de Vegi. Zdumiewającego swą wyobraźnią. Ale głównie czysto sceniczną. Sam tekst de Vegi jest skromny, ubogi w obrazy, refleksje. Miejscami nawet przez lakonizm śmieszny. Ale do swej roli informacyjnej dorasta. Jeżeli oczywiście pomyślany był jedynie jako niewielka ilość niezbędnych informacji słownych do niekończącego się cyklu ruchomych, wielobarwnych efektów.

W krakowskim ujęciu wypadły one oślepiająco. Na tle szlachetnych i powściągliwych dekoracji Pronaszki, Dąbrowski poruszał masami ludzkimi strojnymi w kostiumy bujne, krzyczące, przepiękne, bardzo papuzie. Zdaniem jednych te jarmarki i pochody przypominały najpiękniejsze freski Benozza Gozzoli czy też słynne festyny ludowe Breughla. Zdaniem innych miały w sobie coś z Matejki i coś z kolorowo ilustrowanych katalogów firm rolniczych. Istotnie kolor tu siedział na kolorze, w takim ścisku, w takiej sile, że oszałamiał. Na niektóre szczegóły, kostiumy czy chorągwie, zdołałem zwrócić uwagę osobno. Jeden z tych szczegółów był piękniejszy od drugiego. Na to gotów jestem przysiąc. Przysięgać na całość było by mi trudniej. Nie dlatego, że to rzecz gustu, ale dlatego, że to sprawa po prostu pewnej chłonności. Jej granic. Mnie po tej barwnej ofensywie oczy stanęły słupem. Mimo, że podziwiałem upór i konsekwencję, z jaką Pronaszko przeprowadzał na scenie swoją wizję średniowiecznej Hiszpanii! Za pierwszym razem stanowczo ta wizja przerasta zdolności odbiorcze przeciętnego człowieka. Nie widzę jednak najmniejszego artystycznego powodu, dla którego taki człowiek miałby sobie odmówić przyjemności powrócenia na to widowisko raz i drugi. Ja ze swej strony właśnie tak zrobiłem.

Dla Pronaszki. I dlatego również, aby móc ocenić ogrom pracy dokonanej przez zespół, przez reżyserię i przez p. **Marynę Broniewską,** która dorobiła do widowiska tańce i różne mimiczne wstawki pomiędzy jedną odsłoną a drugą. Samo reżyserskie założenie spektaklu było proste: skonfrontowanie dwu światów. Średniowiecznych, ponurych, zakutych w blachę rycerzy i wesołych, naturalnych, kolorowych zwykłych ludzi, mieszkańców wsi i miasteczek. W tych ludzi wciela się kolor i ruch, i to w ogromnych ilościach. W mężczyzn i w kobiety i w dzieci, w nieznanej polskim scenom mnogości. Poruszanie, dzielenie, łączenie tłumów w naturalne grupy zaabsorbowało tym razem całą uwagę reżysera. Włosy się jeżą na myśl o trudzie włożonym w sceny zbiorowe. Z ciągłą troską o to, żeby wypadły żywo, a zarazem żeby się nie rozprzęgły na fragmenty równoległe w czasie. W tych scenach reżyseria odniosła pełne zwycięstwo. W scenie wesela, w scenie pochodu inkwizytorów oraz w scenie ze ściętą głową komandora. Tu wspomnieć należy o muzyce **Witolda Krzemińskiego.** Mogę tylko osądzić ją pod kątem jej walorów ilustracyjnych. Znakomitych! Natomiast występujące na tle posiłkowej kurtyny intermedia, łączące poszczególne odsłony, wzbudziły we mnie nieufność. Były konieczne: przez czas ich trwania zmieniano dekoracje. Jedne intermedia były mówione, inne śpiewane, jeszcze inne mimiczne. Tekst niektórych piosenek powtarzał się raz w trakcie intermedium, drugi raz po podniesieniu kurtyny, w zanadto bezbronny sposób zdradzając, że za pierwszym razem szło tylko o względy techniczne. Inne intermedium, to podczas którego rycerze zbrojni na zgiętych kolanach udawali, że jadą na koniach, miało w sobie coś niezamierzenie zabawnego. Zato następne, to z pawaną przepiękne. Szkoda, że wszystkie nie miały jakiegoś elementu jednoczącego. Wtenczas słabsze podciągałyby mocniejsze. A tak sprawiały wrażenie czegoś w ostatniej chwili improwizowanego.

Afisz zawiera ze trzydzieści nazwisk. Taka obsada! Kogóż wymienić, gdy wszystkim by się należało choćby po słówku. Co najmniej! Więc **Zofii Rysiównie,** świetnej w scenie nauczki dawanej swemu kochankowi, w scenach z komandorem, a zwłaszcza w kapitalnej scenie zwoływania pod jeden sztandar wszystkich kobiet Owczego źródła, pod ten „rewolucji krwawy sztandar". (Patrzcie go, jaki on czerwony, ten de Vega! A może to Morstin?) Więc **Marcie Stebnickiej,** prześlicznej królowej Izabelli, więc **Aleksandrze Śląskiej,** rewelacyjnej Paschali. A z panów najlepszemu ze wszystkich **Opalińskiemu,** szczerze komicznemu, wzruszającemu, który sam jeden na swoich barkach (przy pewnej pomocy ze strony **Fuldego** i przy minimalnej pomocy ze strony tekstu) utrzymywał równowagę pomiędzy elementami dramatycznymi i elementami rozśmieszającymi tej sztuki. **Tadeuszowi Łomnickiemu,** który malutką rólką wielkiego mistrza Calatrawy przypomniał nam, że możemy się po nim spodziewać najwyższych osiągnięć. Ileż jeszcze nazwisk pcha się pod pióro: **Jacewicz, Sheybal, Stodulski, Surowa Szymański.** Afisz zdobi ponad to ze wszystkich najszacowniejsze imię **Jerzego Leszczyńskiego.** Komandora. Doskonałego. Tyle, że z zupełnie innej sztuki: z Bałuckiego, z Fredry, z Blizińskiego. Jakiegoś szlagona, Raptusiewicza. Bez pychy, okrucieństwa, siły i amoralności, których wcieleniem winien być w sztuce Don Fernand Gomez.

A przekład? Ze sceny brzmi ładnie. Miejscami nawet doskonale. Ale zwłaszcza w lekturze utrapieniem są jego na szczęście nielicznie rozsiane słówka i powiedzenia tak dzisiejsze, że człowiek nie wierzy, by mogły paść z ust ludzi z piętnastego wieku. Niekiedy także wymknie się Morstinowi spod pióra ustęp, który ma w sobie jakąś vis comica wbrew intencjom autora, tłumacza i wbrew interesom chwili. Myślę na przykład o tym czterowierszu, który pada z ust komandora podczas napaści na samotną Laurencję:

— *„A teraz mi wszystko jedno,*
kładę na ziemi tę kuszę
i wierząc w siłę mej ręki
miłość na tobie wymuszę!"

Lecz Morstin ma również swoje miejsca brzmiące porywająco. Pełne radosnego impetu, na którym zasadza się urok „Ślubów" czy „Zemsty":

W kaftanie wyszytym złotem,
dowódcy dzierżąc banderę
mistrz wyjechał przed szeregi,
wspaniały niósł go deresz,
który jako młody źrebiec
niedaleko morskich wirów
wodę pił z Gwadalkwiwiru
i na żyznej pasł się glebie.

Czy to nie Papkin mógłby w ten sposób opiewać swego konia? Albo w następujących słowach dwuznacznych składać hołd swemu zwycięskiemu dowódcy:

Wielki mistrz był twierdzy panem,
potrafił zadaniu sprostać:
przywódcom łby poucinał
a innych kazał wychłostać".

3

Czy z tego wszystkiego wynika, że „Owcze źródło" nie było wydarzeniem i ewenementem? Że się nie udało przez brak równowagi między wątłym tekstem i przerostem Pronaszki? Że udałoby się lepiej, gdyby je potraktować nietylko jako kanwę do pięknych obrazów, ale również jako kanwę do chórów, śpiewów i tańców. A to z tego względu, że same efekty plastyczne pomnożone znowu przez efekty plastyczne dały w sumie przeciągnięty efekt. Może? Może doprawdy „Owcze źródło" to koniec końców tylko libretto! A jednak pomimo takich zastrzeżeń spektakl krakowski był zjawiskiem teatralnym wielkiej wagi. Był wydarzeniem co się zowie.

Przede wszystkim przez kapitalny wkład ambicji. Przez włożony wysiłek i przez sumę ryzyka. Dziś po tym widowisku wiemy to i owo o wartościach i brakach tego de Vegi, ale w momencie kiedy teatr krakowski decydował się na przedstawienie go polskiej publiczności, grał w ciemno, tak jak zawsze gra się w ciemno, doprowadzając do zetknięcia pomiędzy publicznością o wyrobionych gustach i całkiem nowym dla niej zjawiskiem, chociażby to zjawisko miało już na świecie ustaloną markę. Nowy przekład rymowany jest dzisiaj też zamierzeniem równie ambitnym jak ryzykownym. Niepodobna przewidzieć jak dla naszych uszu zabrzmi, mimo że będzie miał wszystkie walory artystyczne i formalne. A pozostałe elementy widowiska? Przejdźmy je w myśli. Ambitne są. Charakteryzuje je wszystkie, od pierwszego do ostatniego, najwyższy poziom ambicji. Niezależnie od poszczególnych wyników. Zatem na pytanie, czy ten spektakl Dąbrowskiego jest „najdoskonalszym i najwspanialszym osiągnięciem teatru w odrodzonej Polsce", musiałbym odpowiedzieć negatywnie Natomiast był na pewno najciekawszym i najambitniejszym wydarzeniem teatralnym bieżącego sezonu. W grze o najwyższy poziom współczesnego teatru było mocnym podbiciem stawki.



Lope de Vega

Tyle na temat teatru, a teraz powróćmy do miasta, do tego miasta, któremu przyglądam się i przysłuchuję na przekór opinii wspomnianego wyżej Chanteclaira, wyznawcy opinii, że o teatrze sądzić należy jedynie podług teatru, a nie podług tego jak się do niego ustosunkuje miasto. Ono zaś się ustosunkowuje do niego jak najgoręcej. I to jest może najciekawszy punkt zagadnienia, które by można nazwać zagadnieniem teatru Dąbrowskiego!

Od pierwszych dni nowej ery teatralnej w odrodzonej Polsce, osoby związane z teatrem próbowały rozwiązać następującą łamigłówkę: jak skłonić do chodzenia do teatru ludzi, którzy do teatru dotąd nie chodzili? Nigdy! Jak ich więc namówić na skosztowanie. Specjalnymi przedstawieniami? Zamkniętymi? Przeznaczonymi wyłącznie dla nowej publiczności: robotniczej, rzemieślniczej, wiejskiej? Jak ją skłonić? Specjalnym repertuarem? Klasycznym? Stosowanym? To zagadnienie wentylowano po pismach, na konferencjach na zebraniach. Wydaje mi się, że jeden z nielicznych ludzi, który to zagadnienie praktycznie rozwiązał jest Dąbrowski. Za pomocą jakiego chwytu? Za pomocą temperatury w jakiej pracuje jego teatr. Ten teatr naładowany elektrycznością, ten teatr, który przede wszystkim zwraca uwagę tym, że mu o coś chodzi. To teatr gorący. I z pewnością właśnie ta jego temperatura sprawia, że budzi on zaciekawienie. Nie tylko widzów nawykłych do chodzenia, ale nawet wśród takich, którzy dotąd do teatru nie chodzili. Idą, bo słyszą, że przedstawienie jest nadzwyczajne. Na zwyczajne by się nie pofatygowali, bo to nie jest w ich zwyczajach, ale zrobią wyłom w swoich obyczajach dla nadzwyczajnego. I jest szansa, że przy tym wyłomie zostaną. Rozmawiałem z takimi. Byłem ciekaw przyczyn ich pierwszego kroku. Odpowiadali, że zdecydowali się pójść, ponieważ ludzie tyle o tym mówią. Wspominałem już wyżej o czym. Na przykład o „Wieczorze Trzech Króli". O tym „Wieczorze", który ściągnął do teatru jedną czwartą ludności Krakowa! Dlaczego? Przepytywałem z dziesiątek nowicjuszy teatralnych na ten temat. Dla wspaniałości, bogactwa, kolorów. To są w każdym spektaklu elementy dla nowicjusza znacznie łatwiejsze niż słowo. Niżeli konflikty, postaci, wypadki charakteryzowane i notowane na scenie przy pomocy wielu sposobów umownych, w których nowicjusz się gubi. Nie gubi się natomiast w barwach, strojach, w wielkich scenach o znaczeniu wyrazistym, jednoznacznym. Teatr Dąbrowskiego o takie sceny się ubiega. Szuka widowisk. Recenzenci znajdują w nich błędy. Nowicjusze znajdują w nich nareszcie dostateczny powód, żeby się na teatr zdecydować.

Tadeusz Breza

EFFENDI KAPIJEW

przełożył JERZY POMIANOWSKI

POWOŁANIE POETY*)

Do domu wróciłem zasromany.

— O słowiku, to każdy potrafi — powiedziałem cicho żonie i wziąwszy do rąk miast bębenka, własną papachę, po raz pierwszy w życiu, zacząłem układać wiersze:

Wciąż jeszcze śpiewasz
w gwiezdnym chórze
Słowiku, kochający różę?!
Czy znasz ludzkiego serca burzę
Tęsknotę ludzką, ludzką troskę?
Chropawą ostrość ludzkiej mowy
I smutek — co już nóż stalowy?
Duszy mej głodnej krzyk surowy
Usłyszysz, słowiku, ptaku
szczęsny.

Oto słowa pierwsze mojej pieśni, ułożonej pod koniec tego dnia. Zarecytowałem ją przyjaciołom, ale ci nie uwierzyli.

— Wiele pieśni o słowikach jest na świecie — powiedzieli. Gdzieś to usłyszał Sulejmanie? Ta pieśń nam się podoba.

— To moja pieśń — rzekłem.

— Czy aby nie tracisz rozumu, jak twój ojciec? — odpowiedziano mi.

— Mógłbym ułożyć lepszą pieśń o samym sobie, ale mało dobrego jest w moim życiu — powiedziałem przyjaciołom. — Niech będzie nie słowik, a pies. Jeśli mi nie wierzycie, to ułożę wam pieśń o psie.

— Dobrze — odrzekli przyjaciele — w takim razie ułóż no piosenkę o naszym wójcie, a potem my ci jeszcze ze czterdzieści innych podpowiemy...

Tak stopniowo wciągałem się do moich nowych zajęć. Przyjaciele moi byli po większej części bezrolnymi najmitami. Całymi latami harowali na szybach naftowych w Baku i zrzadka tylko przyjeżdżali na lato do aułu. Dlatego też widzieli wszystko ostrzej i głębiej niż ja. Ludzie ci byli już nieomal robotnikami z prawdziwego zdarzenia. Wdzięczny jestem tym najlepszym z ludzi, oni bowiem otworzyli mi oczy.

— Świat — mówili mi — to zepsuta waga. Uważaj, Sulejmanie, nie daj się zwieść. Na wadze tej i we dnie i w nocy oszukują naszego brata; czasem chodzi o kawałek chleba, kiedy indziej — o całe życie. Bądź śmielszy, miej oko na wszystkie odważniki...

Pieśni moje zwykłem był układać w polu, podczas pracy. Wracając przed wieczorem do aułu, przyłączałem się do przyjaciół i recytowałem im to, co mi się za dnia ułożyło. Nawet nie zauważyłem, jak pieśni moje zaczęto powtarzać w aule. Sam ich nie śpiewałem i nie zapisywałem. Nowe moje życie — jak się okazało — było trudne i niespokojne. Zaczęło mi ono przysparzać sporo trosk i niewiele dawało radości.

Pewnego razu, wypoczywając opodal źródła, gawędziliśmy o powszednich naszych sprawach. Mułła, przechodzący obok, zatrzymał się tu dla modlitwy, a potem z grzeczności, wtrącił się do rozmowy. Właśnie gorzko mi było na duszy dnia tego skazali mego znajomego starego ogrodnika, skazali za długi syna jego, tydzień temu zabitego z zemsty[1]). Ułożyłem pieśń i zaśpiewałem ją głośno. Mułła rozwścieczył się, pchnął mię kosturem w pierś i jął krzyczeć:

— Kto to słyszał, by jacyś krzykacze uczyli carskich sędziów? Chwoście parszywy! Twoja rzecz — to wisieć z tyłu, a myśleć za ciebie, dzięki Bogu, kazano głowie. A możeś widział gdzie, żeby kto chodził tyłem do przodu?

Zerwałem się, to mnie zabolało.

— Ciekawe, — powiedziałem, — czy takie ręce rosną przy ogonie? — i, biorąc mułłę za barki, zlekka podniosłem go nad źródłem.

Towarzysze moi roześmiali się i — tym, zdaje się zepsuli wszystko. Mułła zbielał cały i pobiegł do aułu. Przyszedł po mnie wójt. Zabrali mnie do kancelarii, poddali badaniu i posadzili do więzienia. Zjawili się jednak przyjaciele. Ci przysięgli na Koran, że to po prostu omyłka, że niby Sulejman zupełnie nie w złości pokazał siłę swoich rąk. Wypuścili mnie, przestrzegając jak najsurowiej, bym nigdy więcej nie układał „brudnych" pieśni. Obiecałem.

Cóż miałem teraz począć? Prawda — niedozwolona, a nieprawdy pieśń nie zniesie.

Po tym wypadku przez kilka lat nie zwierzałem się nikomu z nowych pieśni, ponieważ nie chciałem narażać swoich oczu...

Żył niegdyś u nas, w górach Kiurinu samowładny chan Mursał. Miał przy sobie poetę — biednego aszuga, Saida z Koczhory. Sława Saida rozniosła się daleko, a chan nie lubił, by kogokolwiek prócz niego chwalono. Nudziło mu się. Rozkazał wezwać aszuga.

— Śpiewaj — powiedział chan, który miał 8 żon i któremu przykrzyło się na świecie.

Said zaśpiewał.

— Zdaje mi się, że nieźle śpiewałeś — powiedział chan. — Widać, że mistrz z ciebie, ale dlaczego spojrzenie twoje takie jest zuchwałe? Przecież są tu moje żony... — i kazał wyłupić oczy aszugowi.

Słyszałem o tym niejednokrotnie i dobrze to sobie zapamiętałem. Dlatego też postanowiłem nie narażać swoich oczu.

Jednokowoż poeta — jeśli tylko nie umarł jeszcze — milczeć nie potrafi.

Niezależnie od jego woli, będzie go smuciło wszystko, co złe, a radowało — wszystko dobre i nie uda mu się pieśni swojej ukryć przed światem, zachować dla siebie. Poeta — to drzewo orzechowe. Dopóty, dopóki na szczycie jego wisi jeszcze choćby jeden orzeszek, ludzie nie przestaną ciskać weń pałkami.

Pewnego razu wybrałem się do miasta, szukając roboty.

Ludzie słyszeli już wówczas o mnie, jako o poecie i wędrowcy przechodzący przez auł, często pytali o Sulejmana.

W Derbencie, po całodziennych poszukiwaniach pracy, zanocowałem w karawan-seraju.

Byłem wyczerpany i spałem na podłodze. Nagle słyszę przez sen: ktoś nuci moją pieśń. Gorąco mi się zrobiło przy sercu. Po raz pierwszy poczułem wtedy, jak łzy podchodzą mi do gardła i jak duszy robi się ciasno....

Obok mnie w ogólnej sali spało mnóstwo, takich samych jak ja biedaków. Byli wśród nich także lezgini. I oto słyszę przez sen, jak pieśń moją zaczyna zagłuszać inna, bardzo krzykliwa i zupełnie nieodpowiednia. To śpiewał dalandar[1]). Rozpoczął spór ze słuchaczami-nędzarzami, twierdząc, że jest aszugiem i domagając się od nich w dowód uznania po ćwierci abaza[2]). Ci płacić nie chcieli; dalandar upierał się. Wówczas podniosłem się z ziemi.

— Hej, zuchu! — powiedziałem. — Czy śpiewasz własne pieśni, czy tak sobie, powtarzasz cudze?

— Własne.

— No to zaśpiewaj, bądź tak dobry, o tym karawan-seraju i o nas, nieszczęsnych.

Dalandar pogrążył się w zadumie. Poczekałem dłuższą chwilę i — nie mogąc się powstrzymać — zacząłem po swojemu. W karawan-seraju zrobiło się cicho, jak w lesie. Nie pamiętam, o czym śpiewałem.

Chyba o moim Bagdadzie, nieodnalezionym, nieodkrytym, niewiadomym... Gdzieżeś, Bagdadzie kraju szczęśliwy!

Całusieńką noc układałem pieśni, rano zaś dalandar zdjął przede mną swoją papachę i odmówił przyjęcia zapłaty za nocleg.

— Karawana odejdzie, a karawan-seraj ostanie się — w pieśni twojej była prawda: ja płacę za ciebie!

... Innym razem przyszli do mnie przyjaciele, którzy dopiero co wrócili z Baku. Przynieśli mi smutną nowinę: na szybach naftowych był strajk, który źle się skończył i przyjaciele moi zostali zwolnieni jako podżegacze.

Przyjaciele byli markotni. Co najważniejsza — do aułu dotarła obelżywa pieśń o nich: „Tańczcie teraz — śpiewało się w niej — przystrójcie sobie głowy bębnami każcie iść żonom waszym na bazar, niech sprzedadzą tam wasze materace i poduszki, bowiem na co wam taki zbytek, osły przepędzone kijami z ogrodu".

Wiersze te ułożył niejaki Hadżi, który pracował podówczas na szybach razem z moimi towarzyszami, ale nie został zwolniony z pracy, ponieważ zawsze brał stronę właściciela. Nikczemnik!

Czy mogłem zachować obojętność wobec takiej sprawy? Nie, póki żyłem!

Cały dzień brodziłem, nie mogąc znaleźć sobie miejsca. Ułożyłem jednak odpowiedź i zaśpiewałem ją wszem wobec z dachu mojej sakli.

Przyjaciele spisali słowa pieśni i posłali je w kopercie do Baku na imię owego nikczemnika. Jak dziś pamiętam, że zaczynała się tak:

„Nie strząsaj ze siebie brudnych bryzg, psie parszywy. Nie szargaj godności poety, bo widzę już, jak głowa twoja toczy się na kształt bębna na weselisku moich przyjaciół".

Tak — od przypadku do przypadku — układałem pieśni podobnie, jak gorące, parzące język jadło, łyka się ostrożnie, po kawałku.

. . . . . .

Minęło 5 lat. I oto słyszę pewnej nocy, że cara zrzucili z tronu, że wszyscy są teraz równi, że nadeszła wolność[1]).

— Jakaż to wolność? — pomyślałem. W sądach siedzą ci sami sędziowie, bogacze dalej panują nad nami, — szczególna wolność!..

Ale później zawirował czas, zawirował wiatr.

To cudzoziemcy, to białogwardziści, to biuczerachowcy[2]), to znów ałławerdyści pojawiali się po kolei.

Kto ich tak ponazywał, kto ich wymyślił?

W tych czasach nic jeszcze nie wiedziałem o bolszewikach, chociaż serce moje przeczuwało, że winien przyjść ktoś, wyczekiwany przez lud, ktoby cały ten jarmark rozpędził (skąd też wzięli się ci ludzie, zwani bolszewikami, kto ich stworzył — o ludzie!)

Pewnego razu przyszli do Jenikentu cudzoziemcy i rozstrzelali 3 mieszkańców naszego aułu. Za co? Okazało się, że byli bolszewikami i szli nam na pomoc.

„Oto, — pomyślałem — ziemia jest nasza, góry — są nasze, ludzie, których wiesza się i zabija, też nasi... Cóż to takiego? Znaczy się — bolszewicy — to my sami, a rządzą się tu obcy?

Tego samego dnia spotkałem na ulicy mego byłego gospodarza.

— Sulejmanie — rzekł mi on — dlaczego nie miałbyś ułożyć pieśni na cześć Kazym-beja[3]). A może ty chowasz pieśni dla bolszewików?

— Nie, nie odpowiedziałem.

— Nasz świat przypomina koło — dodał gospodarz — stale się kręci, ciągle się kręci...

— W złą stronę się kręci — przerwałem mu

— Poczekaj no, czy aby nie tęskni twój kark do haka?

— Nie — odparłem — hak lubi słoninę, a mój kark to same ścięgna i nagniotki.

Dnia tego zapewne jedna kropla krwi mojej przemówiła po bolszewicku. Nie przeszkadzałem jej w tym i zdałem jej wolę

Okazało się, że głos miała władczy. Stał się głosem bliskim sercu.

Ot i wszystko Reszty domyślicie się sami.

Effendi Kapijew,
przełożył **Jerzy Pomianowski**

1) vendetta, niemniej powszechna na Kaukazie, niż na Korsyce.

1) dalandar — dzierżawca albo rządca karawan seraju.

2) abaz — od imienia szacha Abbasa — drobna moneta = 20 kopiejkom.

1) mowa o rewolucji lutowej 1917 r., kierowanej przez Kiereńskiego.

2) partia kaukazkich nacjonalistów.

3) przywódca band szowinistycznych na płn. Kaukazie.

*) fragment z powieści Effendi Kapijewa „Próba", która ukaże się w Klubie „Odrodzenia".

W obronie poety Pablo Nerudy

Komitet złożony z 102 pisarzy i artystów Stanów Zjednoczonych rozesłał do prasy amerykańskiej 5 kwietnia r. b tekst następującej odezwy, która została skierowana do rządu chilijskiego:

Senor Gonzalez Videla
President of Chile
Santiago de Chile.

Ostatnio dzienniki podały małą wzmiankę o tym iż został wydany nakaz aresztowania senatora Pablo Nerudy, poety chilijskiego o światowej sławie, za krytykowanie rządu Chile za granicą. Sądy chilijskie pozbawiły go immunitetu parlamentarnego, aby wytoczyć mu proces.

Jak rozumiemy, podstawą do tej akcji był list, który Pablo Neruda rozesłał do swoich przyjaciół na terenie obu Ameryk, przedstawiając w nim wewnętrzną sytuację w Chile — czyniąc to na przekór żelaznej cenzurze w tym kraju Pablo Neruda oskarża Prezydenta Chile, który został wybrany na ten urząd jako anty-faszysta przy olbrzymim poparciu głosów ludowych, o zdradę ludu chilijskiego na rzecz garstki feudalnych właścicieli ziemskich i yankeskich imperialistów. Podaje fakty i cyfry, dotyczące zniesienia wolności cywilnych, zniszczenia związków zawodowych, niewolnictwa pracy wskutek wprowadzenia ustawy która w praktyce równa się prawu wojennemu, utworzenia obozów koncentracyjnych dla więźniów politycznych i włączenia do rządu oraz do administracji policyjnej wybitnych nazistów, niegdyś działających w Niemczech.

Jedynym celem Pablo Nerudy przy pisaniu tego listu było ostrzec resztę Ameryk o roli, jaką kazano grać Chile, teraz, gdy próbuje się obrócić Amerykę Łacińską w nową twierdzę faszyzmu

Senator Pablo Neruda nie jest jedynym politycznym przywódcą, który został aresztowany. Inni członkowie parlamentu, burmistrze miast, wybitni intelektualiści, przywódcy związków zawodowych, są więzieni, torturowani i wysyłani do obozów koncentracyjnych. Żony działaczy związków zawodowych są uznane za okryte hańbą, a ich dzieci są torturowane, aby zmusić je do wyjawienia miejsca pobytu ich ojców. By przypodobać się Franco, aresztuje się uchodźców hiszpańskich, którym przyjazny rząd zagwarantował uprzednio prawo azylu, a dzieje się to na rozkaz prezydenta, który stał niegdyś na czele Chilijskiego Związku Anty-Frankistowskiego.

List Nerudy, wymowny i przerażający, jest w naszym posiadaniu i jest rozpowszechniany.

Mamy nadzieję, iż głos amerykańskich artystów i pisarzy ma jeszcze dostateczną wagę w Południowej Ameryce, aby wpłynąć na rząd chilijski. Łączymy się więc w proteście przeciwko prześladowaniu Pablo Nerudy i nalegamy na natychmiastowe przywrócenie mu jego praw cywilnych i politycznych.

Następują 102 podpisy. M in. są tu następujące nazwiska: znana pisarka Dorothy Parker wybitni krytycy i autorzy antologii Louis Untermeyer i Mark Van Doren, najwybitniejszy poeta amerykański młodego pokolenia Karl Shapiro, znani poeci i poetki: Marianne Moore, Conrad Aiken, William Rose Benet, Muriel Rukeyser, słynny rzeźbiarz Jo Davidson (pracujący obecnie nad pomnikiem ku czci obrońców ghetta warszawskiego), autor popularnych w Ameryce książek z zakresu historii literatury amerykańskiej Van Wyck Brooks, znany pisarz pochodzenia jugosłowiańskiego Louis Adamic, oraz Martha Ostensö której „Krzyk dzikich gęsi" cieszył się przed wojną w Polsce dużą popularnością

jmn

Pisarze polscy wobec ruchu robotniczego

Literaci zgromadzeni na wspólnym zebraniu kół literackich PPS i PPR w dniu 21 kwietnia 1948 r. witają z najgłębszą radością decyzję obu partii w sprawie zjednoczenia organizacyjnego polskiej klasy robotniczej.

W decyzji tej widzimy ważny etap na drodze do zwycięstwa polskiej klasy robotniczej w walce o pokój, demokrację i socjalizm.

Jesteśmy świadomi doniosłych zadań, jakie stoją przed nami na tym nowym etapie.

W chwili, kiedy świat kapitalistyczny zagraża samemu już istnieniu kultury, w chwili, kiedy z całą jasnością okazało się, że jedynym spadkobiercą i obrońcą dorobku kulturalnego całej ludzkości są masy ludowe, uważamy za swój pierwszy obowiązek obronę zagrożonych wartości kulturalnych przez danie masom w ręce takiej literatury, która byłaby skutecznym orężem ideologicznym. Dotychczasowe rozbicie klasy robotniczej utrudniało obozowi postępu walkę z tymi szkodliwymi tradycjami literatury, które decydowały o jej elitarności i niejednokrotnie ideologicznej wrogości wobec spraw jednakowo drogich całej klasie robotniczej.

Zjednoczenie organizacyjne polskiej klasy robotniczej sprzyjać będzie takiemu ukształtowaniu obiektywnych warunków społecznych i gospodarczych, które znakomicie zwiększą zasięg oddziaływania literatury.

Jesteśmy zdecydowani dać nowemu, masowemu czytelnikowi książki czytelne, odpowiadające potrzebom i nadziejom mas ludowych, kształtujące ich ideologicznie w duchu postępu i demokracji.

WOJCIECH ŻUKROWSKI

rysunki JULIUSZA KRAJEWSKIEGO

Ręka ojca 4)

W korytarzu była odrębna, przyczajona cisza, jakby ktoś wraz z nim nadsłuchiwał, wstrzymawszy oddech. Grube podmurowanie z ciosowego kamienia tłumiło odgłosy dalekiej kanonady, zaledwie gdy przechodził koło okienek mruczały zlekka działa, ale gdyby nie pamiętał o zaczętej ofensywie, wziąłby to za odgłos swych stąpań.

Dzieci odczekały chwilę. Potem Teklunia pochwyciła Włodzia Aniserewicza za luźno zwisający koniec rękawa i pobiegli schodami na piętro. Poruszali się bezszelestnie, byli tylko w pończochach. Czasem skrzypnęła deska w podłodze i dźwięknęła obluzowana klamka.

— Czekaj, nie możemy się tak pchać — szepnęła dziewczynka — muszę posłuchać!

Zajrzała przez dziurkę.

— Ciemno! Nie ma jej jeszcze!

Drzwi zapiszczały żałośnie. Wsunęli się do pokoju kucharki. Pachniało tu nagrzaną pierzyną, kotem i jabłkami.

— Zapal — powiedział Włodzio — przecież musimy się gdzieś schować! No prędzej!

— Dobrze ci krzyczeć, jak ja nie mam pudełka, tylko same zapałki. — Podeszła do pieca, przykucnęła i przyłożyła zapałkę do rozgrzanych drzwiczek, zapaliła się wreszcie. W jej płomyku jak w puszystej grocie, ukazał się piegowaty szczurzy pyszczek Tekluni. Podniosła zapałkę. Zobaczyli łóżko, spiętrzone poduchy, obok krzesło, na nim zapałki.

— Bierz je! — trącił ją chłopiec.

Schowała do kieszonki. Dalej była szafa nisza nad skarpą wieży, okno zasłonięte, pod nim kufer, a w kącie wisiały letni płaszcz i nowa baranica furmana.

— Zgaś! Idzie zdaje się... — pomachał końcem rękawa dławiąc płomyk. Wsunęli się za kufer i okryli nisko zwisającym kożuchem. Nadsłuchiwali. Kroki zbliżały się, rosły, potem minęły drzwi i zcichły.

— To nie ona... Chodź tu bliżej — upchnęła go sobie pod ramię. — — Dobrze ci?

Nie śmiał się przyznać, że mu niewygodnie.

— Dobrze — powiedział i pokręcił głową twardy warkoczyk Tekli wciskał mu się do ucha jak sprężysty ogonek. — Zupełnie mi dobrze. Teraz tylko musimy cichutko czekać aż zaśnie, jeżeli chcesz zobaczyć jak z niej wychodzi...

✤

— Doskonale pojmuję pani intencję, ale nie mogę w tym wypadku po prostu kazać mu jechać — mówił półgłosem Nahorayski chodząc nerwowo po pokoju. Jan stał przy drzwiach. Kominek oświetlał różowo jego buty o zmiękłej cholewie Krople stopionego śniegu świeciły na nich jak iskry. W lewej ręce krył fajkę.

— Ostatecznie to kwestia paru godzin, — spojrzał na zegarek, — Już o piątej decyzja będzie ode mnie zależała, ale jeśli się pani upiera... Ja nie robię przeszkód! Konie są do pani dyspozycji. Jakieś pozory prawa obowiązują jeszcze, ale i to może się rozsypać, tak z godziny na godzinę... On nie ma nocnej przepustki.

Łucja siedziała w mroku, tylko ręce jej bielały na kolanach. Była zgarbiona jak człowiek, który przysiadł z ciężarem, by odpocząć chwilę i nabrać sił do dalszej drogi. Rozumiała odpowiedzialność. Jechać, czy zaczekać do rana. Męczyła się niepewna, a może tu przy dzieciach będzie potrzebniejsza?

— Mam przepustkę, to i dla Jana wystarczy.

— Oni czasem lubią być formalistami... I będą mieli prawo zdjąć go z kozła...

— No to sama pojadę!

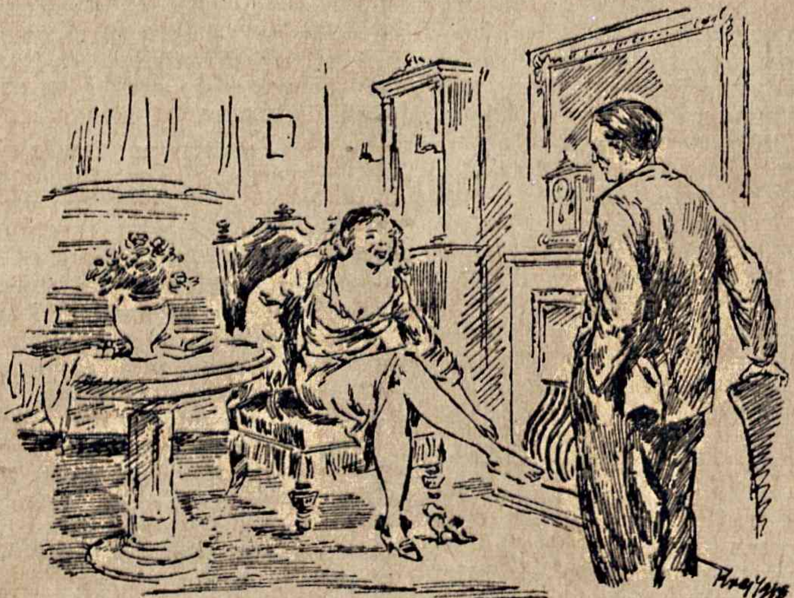
Na to się Jan poruszył niespokojnie, postąpił krok i znów się cofnął.

— Jakże tak można proszę pana sędziego, ja koni samych nie puszczę! Jak potrzeba, to nie ma o czym gadać, pojadę i szlus!

— To już jak Jan uważa, ja nie namawiam...

— Musimy przywieźć zapasy dla dzieci i trochę pieniędzy, wszystko się kończy, nie mogę tak na łasce losu zostać — wybuchnęła Łucja.

Na twarzy Jana odbił się głęboki namysł, poskrobał się cybuszkiem po brwiach.



— Jak już mamy jechać, to tylko nocą... Bezpieczniej, Wermacht przepuści...

— Dziękuję panu! Napewno przejedziemy, im wcześniej tym lepiej..

— To idę zakładać do sanek...

— No widzi pani — zatryumfował sędzia — trzeba tylko pozwolić, żeby sam do tego doszedł!

Drzwi uderzyły Jana w wyciągniętą rękę, do pokoju wsunęła się Wacława. Była w wiśniowym szlafroku i pantofelkach obszytych króliczym futerkiem.

— O przepraszam — zawołała — najmocniej przepraszam! Dowiedziałam się w tej chwili że pani jedzie... Błagam panią, panno Łucjo, niech mi pani odbierze w mieście pończochy, dałam do załapania oczek... Możemy być odcięci... Ze wszystkim trzeba się liczyć. Moja kochana, tu jest kwit a tu pieniądze, jakby brakło niech pani ze swoich doda!

Sędzia spojrzał na Łucję znacząco. Wacława udała, że tego nie widzi.

— Pani pewnie będzie zalatana, wystarczy tylko Jana dopilnować, on odbierze, to nie jest żadna sztuka.

Jan stał chwilę czekając, czy się do niego nie zwrócą, dopiero na znak sędziego wyszedł pośpiesznie

Pani Wacława na pozór bezmyślnie podeszła do kominka, przysiadła na skraju fotela. Jednym ruchem zsunęła pantofle, uniosła bose stopy nad wygasającym żarem Nogi miała kształtne, blask je miękko różowił.

— Pewnie mnie uważacie państwo za osobę o ptasim móżdżku bo w takiej chwili myślę o pończochach. Ale miasto może być ostrzeliwane, sklepy mogą rozbijać... Teraz, po warszawskich doświadczeniach nie stać mnie. Pończochy, to byłaby dla mnie poważna strata, wolę być za ostrożna. Szkoda, że to nie lato, możnaby było tak... Uniosła bose stopy i natychmiast w udanym popłochu ukryła pod fotelem, wsuwając w pantofle.

— Przepraszam bardzo panie sędzio, wiem, że nadużywam pańskiej gościnności! Człowiek na tej wsi zupełnie zdziczał! Zapomniałam, że jestem trochę.. — zebrała szybko szlafrok pod szyję, uwydatniając drobną pierś. — Dobranoc. Uciekam! Szczęśliwej drogi panno Łucio, niech pani o mnie źle nie myśli...

— Ona jest bardzo kobieca — usprawiedliwiał ją sędzia — naprawdę ma dużo wdzięku... —. Mówił to, patrząc w popielisko, w resztkę żaru, raczej do siebie niż do przypadkowego słuchacza.

— O na pewno — zgodziła się chętnie. — Dobranoc panu!

— Niech pani szczęśliwie wraca. Byłbym spokojniejszy, żeby pani pojechała rano... To jest jednak wojna...

— Nic mi nie będzie...

Zrobiło jej się przyjemnie, że wszyscy się tak o nią troszczą.

— Brakować mi będzie pani, tak, nawet i mnie... — mówił powoli, całując ją w rękę — wprawdzie niewiele się stykamy, tylko „służbowo" — uśmiechnął się — dobrze jest wiedzieć, że ma się obok człowieka...

— Przecież pan mnie nie zna, ja tylko z dziećmi...

— A każdy z nas tylko zajęty sobą, tylko dla siebie i o sobie... Spokojnej drogi!

Długo trzymał drzwi otwarte, słuchał czy się nie potknęła w ciemności.

Gdy wszedł do drugiego pokoju, by zabrać lampę, zobaczył żonę jak spała czołem wsparta o kolana Stynki, poczuł cień wzruszenia. Wycofał się na palcach.

Zapalając papierosa, pomyślał złośliwie — wygląda jakby chciała fiknąć koziołka i nie mogła podnieść ciężkiego tyłka.

✤

— Jan wlazł do wozowni, poruszał się na pamięć w ciemności. Podrzuciwszy dyszel, wypchał sanie przed szopę. Przyniósł dwie wiązki siana, derki i kożuch rumuński, który kupił od żołnierza. Wreszcie poszedł po konie.

Zdaleka już łapał nosem ostry aromat stajenny. Wyjął skobel i wszedł do środka. Niewielka lampka, o szkle nadbitym i zakopconym górą, mżyła przyjaznym światłem. Konie stały na świeżo podrzuconej słomie. Odwracały głowy węsząc głośno i strzygły uszami. Jan uśmiechnął się szeroko, światło masnym połyskiem spływało po wyczesanych końskich zadach.

— No Kuba, pojedziemy... — zamruczał. Odpiął kantar, zrzucił z brzękiem do pustego żłoba. Zdjął ze słupa chomonto wcisnął koniowi przez łeb i przekręcił na karku. Poklepał twardą ręką ruchliwą, pełną szybkich dreszczów łopatkę wałacha.

Klacz przełożyła pysk przez przepierzenie i obwąchiwała Janowi kark. Nie płoszył jej. Czuł aksamitne, chwytne wargi i strugę ciepłego oddechu. Związał szleje i postronki narzucił koniowi na grzbiet.

Gniadosz nawrócił się sam, podkowy zaklaskały twardo o ceglany chodnik. Stanął przy uchylonych drzwiach, czekał na Jana

TADEUSZ KUBIAK

MARTWA NATURA

Piersi kobiet martwe. Odcięte
od różowych, ciepłych korpusów,
pozbawione obiegu krwi
i przypływów ciepłego mleka
są jak smutne, choć egzotyczne —
kto wie, kto wie — z Italii może
słoną wodą eksportowane
pomarańcze — wygasły pożar.

Obok palce serdeczne dzieci,
które jeszcze nie były zatrute
złotem, ani kamieniem dzikim
złych pierścieni leżą jak strączki.
A to chyba jest także smutne.

A mógłbym jeszcze przynieść wam głowę
uciętą chłopca, nie wiele większą —
zobaczcie sami — od tenisowej
piłki. I nogę wyjętą z kosza
chirurgicznego. To także smutne.
Wierzcie mi — smutne. Ale prawdziwe.

Teraz to wszystko narysuj, jakbyś
ujrzał przed sobą owoce, misy,
smukłe wazony, antyczne wazy.
Martwa natura, nad którą ćma
jedyny żywy z żywych przelata
łaskocząc ściętą głowę po twarzy.

I tyle tylko ocalało z lat
w których bawełny i kauczuk miały
cenę najwyższą, w których gorące
archipelagi drżały od krzyku,
a srebrne łodzie podwodne syren
zwyczajem — młodych wabiły w głąb —
Czy tylko tyle, czy tylko tyle
ocalało z tych lat?

Nieprawda. Ja żyję.
Nieprawda. Ty żyjesz.

TYMOTEUSZ KARPOWICZ

MŁODA KRAWCZYNI

Jeszcze sen usuwam spod powiek —
gruz różowy, ułamki świtu,
a ty wzrok masz zagmatwany w niciach.
Twoja szyja promieniem przebita.

Jak ty się śmiejesz słońcostrzelna
znad maszyny tryskającej ściegiem!
Dobrze mi w tym uśmiechu,
jak w koszuli uszytej przez ciebie.

Dzieci, żywe części podwórka
i staruszek przyschnięty do rynny
zasłuchani są w twoje ręce —
unerwione płatki naftaliny.

Okno upadło na krzyż
poprzez niebo utkane z bławatów...
I dwie chmury zapięte na słońce
są jak broszka z żyjącej laki.

Mija dzień w falbankach z liści...
Wnętrze domu w kwiatach z materiału.
Stoi w szybie codzienny klient —
rudy komin do przymiary.

A wieczorem odpływasz na książce
do gimnazjum, zadziwiona, malutka.
Dzień się skończył — uciął go księżyc
jak nożyce płótno.

NAGRODY I WYDARZENIA LITERACKIE

ZSRR

Rada Ministrów ZSRR na posiedzeniu z dn. 24 marca br. przyznała następujące nagrody beletrystom, poetom, dramaturgom, krytykom i historykom literatury.

Sto tysięcy rubli, jako pierwszą nagrodę za powieść otrzymali: Bubiennow Michał za „Białą brzozę". Pawlenko Piotr za „Szczęście", Erenburg Ilia za „Nawałnicę".

Pięćdziesiąt tysięcy rubli, jako drugą nagrodę za beletrystykę dostali: Gończar Aleksander za powieść pt. „Sztandarowcy", Kozakiewicz Emanuel za powieść pt. „Gwiazda", Karabajew Berdy za powieść pt. „Decydujący krok". Kostylew Walenty za trylogię „Iwan Groźny".

Trzecią nagrodę po 25 tysięcy rubli przyznano: Awdiejewowi Wiktorowi za powieść pt. „Zaspy na drodze", Galinowi Borysowi za reportaże „W Donbasie", Kieraszewowi Temborowi za powieść „Droga ku szczęściu", Kietlińskiej Wierze za powieść „W osadzie", Kozłowowi Iwanowi za książkę „W krymskim podziemiu", Likstanowi Józefowi za powieść pt. „Drobiażdzca", Michajłowi Mikołajowi za książkę pt. „Nad mapą ojczyzny".

Za zbiory wierszy otrzymali nagrody: pierwszą, sto tysięcy rubli: Grybaczew Mikołaj za poemat „Kołchoz — Bolszewik" Niedogon Aleksiej za poemat „Sztandar nad sielsowietom", Sosiura Włodzimierz za tom poezji „Żeby sady szumiały".

Drugą nagrodę pięćdziesiąt tysięcy rubli przyznano: Sudrabkułkowi Janowi za wiersze „W braterskiej rodzinie", Tankowi Maksymowi za poezje „Gdybyśmy wiedzieli", Tursunowi — Zade Mirzo za utwory poetyckie „Indyjska ballada"

Za utwory dramatyczne pierwszą nagrodę sto tysięcy rubli otrzymali: Romanow Borys za sztukę pt. „Wielka siła" oraz Jakobson August za sztukę pt. „Walka bez linii frontu".

Drugą nagrodą 50 tysięcy rubli wyróżniono: Wirte Mikołaja za dramat „Nasz chleb codzienny" i Sofronowa Anatoliusza za sztukę „W pewnym mieście"

W dziele krytyki i muzykologii: pierwszą nagrodę sto tysięcy rubli otrzymał: Asafiew Borys za książkę pt. „Glinka".

Drugą nagrodę przyznano Mejłachowi Borysowi za książkę pt. „Lenin i problemy rosyjskiej literatury" oraz Nieczkinoj Milicy za książkę o Grybojedowie.

f.t.

FRANCJA

Sezon nagród literackich we Francji trwa bez przerwy. Jeszcze nie przebrzmiały echa laurów grudniowych, a już rok 1948 wieńczy nowych wybrańców. Listę tych noworocznych wyróżnień rozpoczęła 5 stycznia nagroda miasta Paryża. Przyznaje ją corocznie rada miejska stolicy z udziałem kilku pisarzy. Nagroda ta, w sumie 100 tysięcy franków, przypada kolejno powieściopisarzowi, essayiście, historykowi lub filozofowi. W tym roku odkryto zapomnianego dziś pisarza, jednego z nielicznych „starych", 82-letniego André Suarèsa. Ponieważ w roku ubiegłym laureatem Paryża był zmarły niedawno Fargue, można by twierdzić, że radni paryscy są zwolennikami tradycji i nie hołdują nowoczesnym metodom literackim. Decyzja ta spotkała się zresztą z uznaniem krytyki fachowej. Przypomnienie publiczności mało dziś czytanych studiów Suarèsa o Napoleonie, Pascalu, Ibsenie czy Tołstoju oraz wrażeń z podróży, w których, według wyznania autora, wysuwa się na czoło troska o piękno i doskonałość stylu, ma swoją wymowę w okresie, kiedy młodym pisarzom zarzuca się coraz częściej niedbałość słowa, a nawet błędy gramatyczne.

Nagroda Saint-Beuve'a ma od ubiegłego roku niedobrą tradycję; raz bowiem otrzymał ją pisarz, który pod pseudonimem ukrył swoją współpracę z okupantem, drugi raz Krawczenko. Tradycja ta utrzymałaby się i w tym roku, gdyby Marcel Jouhandeau nie wycofał niemal w ostatniej chwili swojej kandydatury. Gdy zabrakło autora wydanego niedawno „Essayu o sobie samym", nagroda w dziale essayu przypadła poecie Antoninowi Arthaud za książkę o van Goghu. Malarz ten cieszy się ostatnio wielką sympatią publiczności francuskiej, o czym świadczy powodzenie dwóch paryskich wystaw, poświęconych jego twórczości. W dziale powieści tę samą nagrodę otrzymał Armand Hoog, krytyk tygodnika „Carrefour" i wykładowca na uniwersytecie w Strassburgu. Krytyk i profesor, uprawiający twórczość powieściową, staje się zjawiskiem coraz częstszym we Francji. Wyróżniona powieść Hooga „L'Accident" zamyka się w kręgu zagadnień moralnych i filozoficznych. Bohater powieści, dyrektor instytutu psychoanalitycznego, rzucony na odludną wysepkę, dokonuje psychoanalizy na sobie samym i zastanawia się nad zagadnieniem odpowiedzialności, które absorbuje pisarza-krytyka.

Z nagród międzynarodowych wymienić należy dwie, które przypadły pisarzom francuskim. Powstały niedawno belgijski klub książki miesiąca, przyznał pierwszą swoją nagrodę, przeznaczoną dla dzieła (powieść, essay, biografia, dzieło historyczne etc.), opublikowanego w jednym z krajów, w którym mówi się językiem francuskim (Francja, Belgia, Szwajcaria, Kanada), powieści Germaine Beaumont „La roue d'infortune" („Plon"). Tę interesującą powieść — pamiętnik nieszczęśliwej kobiety—drukowały niedawno „Les Nouvelles Littéraires", w których autorka zamieszcza swój tygodniowy felieton. Nagroda klubu belgijskiego, stosunkowo wysoka (trzydzieści tysięcy franków belgijskich odpowiada 150 tysiącom francuskich), jest o tyle oryginalna, że przypada wydawcy.

Inna międzynarodowa nagroda — „Pierre Veillon", tym razem we frankach szwajcarskich (pięć tysięcy), otrzymał młody pisarz francuski Pierre Gamarra za rękopis powieści „La maison rouge".

Ale jury cechu książki decyzję swą odłożyło rozsądnie do września 1948, nie znalazło bowiem wśród nadesłanych prac takiej która by zasługiwała na wyróżnienie.

W styczniu zebrało się także jury bardzo osobliwej nagrody — „Prix Arcadius". W skład tego jury wchodzi 13 młodych dziennikarzy którzy zbierają się w 13-tym (według ich obliczenia) miesiącu roku, dnia 13-go o godzinie 13-tej, by wyróżnić najgorsze jury roku. Wydawcy, który dotychczas nie ufundował, ani też nie otrzymał żadnej nagrody literackiej, przyznać sumę franków 13. Ten wątpliwy zaszczyt przypadł w tym roku Akademii Goncourtów, której decyzję krytyka najbardziej podawała w wątpliwość. Najbardziej pracowitemu członkowi jury literackich, Georges Duhamelowi, który zasiada podobno w 79 jury, przesłali dziennikarze „braterskie pozdrowienie". Ta parodia nagrody pomyślana jest jako protest przeciw inflacji nagród na giełdzie literackiej.

stg

JUGOSŁAWIA

Jugosłowiańskie „Nowiny Księgarskie" nr 4 br., organ związku księgarzy, przynosi wiadomości o przyznaniu tegorocznych nagród za wybitne utwory literackie, opublikowane w roku 1947 na ziemiach republiki Serbów, Kroatów, Słowieńców, Czarnogórców, Dalmatyńców, Macedończyków i Bośniaków. W dziale poezji nagrodzono Radowana Zogovica za zbiór utworów pt. „Harde strofy". Za powieść otrzymali drugie nagrody Miska Krancja („Katedra św. Jana"), Oto Bihalii Merina („Do zobaczenia w październiku"). Trzecią nagrodę beletrystyczną przyznano Erwinowi Sinko za powieść „Czternaście dni". Pierwszej nagrody nie otrzymał żaden z beletrystów jugosłowiańskich. Nagrody te wynoszą 80 tysięcy dinarów za wiersze, 60 i 40 tysięcy za prozę. W dziale krytyki i essay'u sędziowie nie znaleźli nic godnego wyróżnienia.

Twórczość na polu dramatycznym dała sądowi możność wyróżnienia dwóch sztuk „Wieczór" Skendera Kulenowicza i „Pięść przed nosem" Józefa Horwata. Obie te sztuki otrzymały trzecie nagrody po 30 tysięcy dinarów.

Tegoroczne nagrody objęły również sztuki plastyczne muzykę, teatr, kino, tańce. Najwyższą nagrodę 100 tysięcy dinarów osiągnął rzeźbiarz Vojin Bakic za pomnik w Bielowarze. Rzeźbiarzów nagrodzono ogółem sześciu. W Jugosławii przyznaje się coroczne nagrody za dyrygowanie operą, za wykonanie ról tak w sztukach o komediowym, dramatycznym charakterze, jak ról operowych.

CZECHOSŁOWACJA

W Pradze ukazała się obszerna praca monograficzna Wacława Zaczka pt. „Cechovi a polaci roku 1848" (Czesi i Polacy w roku 1848). Książkę tę wydano nakładem czeskiego Instytutu Naukowo-Słowiańskiego, jako dwudziesty drugi tom prac historycznych. Monografia jest obrazem stosunków polsko-czeskich w pierwszej połowie dziewiętnastego wieku, ukazuje wielką emigrację polską (1831—1848) i jej postawę wobec słowiańszczyzny. Daje też przegląd prądów, jakie nurtowały opinię czeską w epoce powstania listopadowego, uwypukla współpracę czesko-polską w tym okresie i później. Duży rozdział omawia współżycie polskich i czeskich studentów, uczących się w Wiedniu. W ogóle praca ta przedstawia historyczny rozwój stosunków politycznych i kulturalnych polsko-czeskich. Rozdziały „Kolar przeciw Mickiewiczowi" „Karol Havlicek a Polacy", „Edmund Chojecki" należą do bardzo ciekawych przyczynków, charakteryzujących polsko-czeskie zainteresowania i kontakty narodowe.

✦

Zdenek Nejedly, obecny minister oświaty w gabinecie Gotwalda, prezes czeskiej Akademii Nauk, obchodził siedemdziesięciolecie swoich urodzin w dn. 10 lutego br. Z okazji tej rocznicy Komitet Słowiańsk. przesłał temu znakomitemu historykowi czeskiemu uroczyste pozdrowienie. Zdenek Nejedly jest autorem „Historii Czech". Napisał obszerną monografię o prezydencie Masaryku. Jego książka o Leninie została nagrodzona przez rosyjską akademię nauk. Otrzymał też order im. Lenina. Studia jego nad ruchem husyckim wyróżniane są przez naukę historyczną. Zdenek Nejedly uzyskał też duży posłuch jako muzykolog.

Znakomity uczony, prezes czeskiej akademii nauk, był również ministrem opieki społecznej.

ec

Klacz była niecierpliwsza. Nie chciała przyjąć wędzidła, rzucała łbem i zaciskała zęby. Widząc jak kuli uszy i podkurcza zadnią nogę, szturknął ją lekko pięścią pod brzuch.

— No Lala, tylko nie ligaj!

Konie uważnie przekroczyły próg, prowadził klacz za wodze, Kuba szedł sam. Znał swoje miejsce.

Trzymając Lalę przy pysku, naciskając piersią ustawił i zaprzągł sprawnie. Konie wciągały ostre, nocne powietrze, parskały zdrowo. Wrócił do stajni po nowe lejce. Świeciły surowym rzemieniem. Stare, połatane zawiesił na słupie. Przykręcił lampkę, mażąc sobie palce lepkim od nafty kurzem, który jak pleśń porastał liszajami szklany zbiorniczek. Zamknąwszy drzwi, nakreślił batem krzyż nad końmi.

Powoli szedł koło sanek, cmokając podprowadzał je pod boczne wejście. Konie ciągnęły nierówno, płozy zacierały na kamieniach wystających spod zdeptanego śniegu. Armaty gadały chórem.

Ktoś przeszedł przez podwórze, zatrzymał się przy sankach.

— Ach to wy Janie? Czy coś się stało?

— Nie, panie Tadziu, jadę teraz z Łucją do miasta.

— Dlaczego tak po nocy?

— Jeżeli się na fest ruszyło, lepiej teraz, jak za dnia!

— Kiedy wracacie?

— Jak się da, to na południe obrócimy.

— Nie ma nic nowego od chłopców?

— Nie. Jakby pan ich szukał, to u akuszerki na Dziadówkach jest ich nowa melina.

— Tam ich jeszcze nie widzieli? Rodzić będą?

— Zimno, mróz przyciska, więc się zeszli i bimber czyszczą.

— O cholera, dobrze wiedzieć.

— Wczoraj mi kum mówił, że chodzili po rynku w Doboszowie, jeszcze się nawet dobrze nie zciemniło... Ręce w kieszeniach, cygaretka w zębach — jakby nigdy nic. Tylko im ludzie z drogi ustępowali. Gębę Znaczonego wszyscy pamiętają, nie powinni tak kozakować!

— Szkoda, że jedziecie, było by nas więcej.

Noc wygwieżdżona, tylko nad lasem, który mruczał echem dalekiego ognia, chmura podłużna dławiła szczerbaty księżyc.

— I tak się tu nie będziemy bić, a zresztą nim się ludzi skrzyknie...

— Co zamku będziecie oszczędzać?

— Zamek niejedno widział, tylko o dzieci idzie... Zresztą co tam w kilku chłopa...

— Gotowe! Już sanki podstawione! — usłyszeli głos Celinki wołającej w sień zamkową. Umilkli.

Jan okrył Łucję derką ciężką i wilgotną, pachnącą ostro końskim potem. Klacz grzebała nogą, iskry pryskały z kamienia.

— Niech pani będzie ostrożna!— szepnęła Celinka. Ucałowały się pośpiesznie, rozgrzeszone ciemnością.

— Proszę pani! Chwileczkę jeszcze! — wypadła z sieni Ratajczakowa. — Niech mi ją pani przywiezie! Niech pani przywoła Marysię, za kark i do sanek. Ja jej każę natychmiast wracać! Musi matki posłuchać! Jeżeli to się zaczęło, nie będę miała chwili spokojnej, póki obie nie będą ze mną. W taki czas nie wolno się rozdzielać... Boję się o nią!

— Wio! — cmoknął niespodziewanie Jan, sanie osunęły się lekko z pochyłości, konie z miejsca przeszły w kłus.

— Na miłość boską, niech mi ją pani przywiezie!

— Przywiozę ją pani! Wrócę z Marynią! — zawołała Łucja przejęta histerycznym brzmieniem w głosie poznanianki.

Sanie spływały gładko. — Zaczyna się — pomyślała Łucja z uczuciem ulgi. Zdawało jej się, że stoi przed próbą, którą sama wybrała. — Spełnię obowiązek — szepnęła — muszę dać sobie radę!

— No, no Lalka, nie bój się! — ściągnął wodze Jan, gdy minęli bramę, klacz spłoszyła się na widok jałowców czarnymi słupami widniejących wśród zasp.

— Przejedziemy panienko! — strzelił z bata ufnie, raz i drugi — Cobyśmy nie mieli przejechać!

Skoczyły konie krótkim, kozim galopem. Syknęły płozy na wyślizganej drodze. Ostra woń machorki podkreślała tylko świeżość mroźnego powietrza. Iskry wyroiły się z fajki, sypnęły mu się po policzku i zatliły nietrwałą czerwienią na szerokim kołnierzu baranicy.

✦

— Szkoda, że nie mogłam z nią pojechać—westchnęła Celinka. Niejasny cień sanek zapadł się w szarzejącym łuku bramy — Chodźmy spać pani Ratajczakowo!

— Coś jest niedobrego w powietrzu, jużbym je chciała mieć przy sobie...

— Co pani kracze — odezwał się pogardliwie Tadek Bukowski — mróz ściska, powietrze aż gra...

— Chciałabym być taka jak Łucja, każdy ją musi podziwiać — zaczęła Celinka.

— Niewiele trzeba, żeby ci zaimponować, a skąd wiesz, że ona tu jeszcze wróci? — odezwał się przekornie. — Może ona zawczasu zwiała?

— Głupiś!

— To nie argument! Przecież nie siedzisz w niej w środku, skąd wiesz co wykombinowała?

— Przestań mnie drażnić! Wiesz, że trzeba odwagi, żeby się tak wybrać nocą!

— A może za parę godzin tu będzie gorzej? Widziałem już w czasie powstania takich, co się rzucali naprzeciw niebezpieczeństwu, ale... ale mniejszemu, zostawiając oddział w oczekiwaniu tego, co ma nadejść. I żołnierze trwali.

— Chodźcie prędzej — krzyknęła Walercia. Przyświecała im lampą, gdy zamykali drzwi wejściowe i zakładali sztaby. Słyszała ich jeszcze jak szli na górę nie przestając się kłócić.

Ratajczakowa przeszła przez dwa puste pokoje. Okna w nich były niezasłonięte, widziała przez nie skraj dachu przywalonego śniegiem, odwiany mur warowni i szczyty świerków w mrowiu gwiazd. Przeszła na skos pokój w baszcie, zmierzała do drzwi, gdzie złotym chwastem rozlewało się światło, wyciekając dziurką od klucza. Nacisnęła klamkę, było zamknięte.

— Kto tam? — usłyszała spłoszony głos córki.

— To ja! Dlaczegoś się zamknęła? — zapytała zaniepokojona.

— Myję się cała, zaraz będę gotowa, niech mama zaczeka...

— Cóż ty myślisz na zimnie mnie trzymać? Otwieraj zaraz!

— Już, tylko niech mama odrazu nie wchodzi...

Nie słyszała kroków, dopiero na zgrzyt obracanego klucza, pchnęła drzwi.

Mała lampa naftowa, zwana piątką od numeru szkła stała na rogu stołu, tak zwrócona, że blaszany reflektorek rzucał okrągły cień na pół izby. Irka klęczała w balii, ciało jej bielało przysnute parą. Ratajczakową raziło światło, podeszła bliżej. Czysta linia pleców dziewczyny, odsłonięty kark, kończył się czerwonawym zawojem, w który ujęła niesforne włosy.

— Cóż to matki się wstydzisz?— zapytała Ratajczakowa podejrzliwie. Widziała teraz córkę odmienioną, przysłaniała sobie piersi skrzyżowanymi rękami, stulała uda, odwrócona i niechętna.

— Nie wstydzę się, tylko mnie krępujesz, nie jestem już dzieckiem! Mamo! — zawołała boleśnie, gdy światło odwracanej lampy dobyło ją z półmroku.

— Dla mnie zawsze będziesz dzieckiem, zapamiętaj to sobie! Gdzie masz mydło? Daj, to ci plecy umyję!

Przysunęła sobie krzesło. Zawinęła rękawy i siadłszy wygodnie ślizgała się palcami po nagim karku dziewczyny. Czuła nieznane dotąd wzruszenie, silniejsze niż trwożliwa myśl — trzeba jej strzec, może już się podobać, a taka głupia i bezbronna... Myślała z żalem: co to z tego niecierpliwego maleństwa wyrosło... Niedawno usypiała mi przy piersi, z sutką w wargach, a gdy próbowałam wyjąć, ciągnęła mocno, aż bolało — a dziś — panna jak łania! Spłukiwała powolnymi ruchami łopatki córki, czuła zapach młodego rozgrzanego ciała, nie tłumiła go nawet woń lichego mydła.

Zrozumiała nagle kruchość swego posiadania. Ogarnęło ją przeczucie samotności tak ostre, że objęła córkę mocno, przytuliła policzek do jej głowy i zapłakała nagle.

— Mamo! Co mamie się stało?— Odwróciła się gwałtownie Irka. Złapała matkę za szyję mokrym ramieniem, przygarnęła pełna lęku. Czuła jak jej łzy spływają na piersi.

— Nic, córuś, nic... Tylko tak mi się pomyślało... Mam was jeszcze dwie do kochania, mogę wam usłużyć — mamrotała lepkimi wargami. — Ale jak długo jeszcze? — zachłysnęła się łkaniem.

Irka klęczała zdrętwiała, nie rozumiała matki. Siedziały tak chwilę, bliskie oddechy przenikały się, czuły mimo splecionych ramion, że każda z nich jest sama.

✦

— Na pewno z niej wyjdzie?

Włodzio poprawił ścierpniętą nogę. Pod kożuchem było parno.

— Widziałem ją jak zasypiała. Siedziała w kuchni z otwartymi ustami i robiła tak — hrr, hrr...

— No i co z tego? — zaniepokoiła się Teklunia. — Skąd wiesz, że to dusza?

(Dalszy ciąg nastąpi)

Niedyskretne wspomnienia

WACŁAW ROGOWICZ

WIZJA NINON DE LENCLOS NA ZAMKU

Czas? — podczas Dwudziestolecia. Miejsce? — sale recepcyjne Zamku Królewskiego w Warszawie. Pora dnia? — późnym wieczorem. Raut-gala z bufetem (ściślej: bufet z rautem). Z powodu? — nie pamiętam. Na zaproszeniach adnotacja protokułu: stroje wieczorowe... „przy orderach" (tak!). Prócz dygnitarzy państwowych, wojskowych i cywilnych, posłów i senatorów korpusu dyplomatycznego, dostojników kościelnych, głów samorządu stolicy, również przedstawiciele sfer naukowych, literackich i artystycznych oraz w ogóle tzw. według niewiadomego bliżej kryterium, wybitne osobistości.

Po krótkim salem — alejkum (czyli shake — hand) z Gospodarzem, świetnie się prezentującym we fraku z błękitną wstęgą Orła Białego — w małej sali Rycerskiej — goście sączą się, pojedynczo lub grupkami, z damami lub bez dam, do wielkiej sali, zalanej potokami światła z kryształowych żyrandoli i brązowych kinkietów.

Tu będzie cercle. Za tą salą — przyległa, ale pod kątem prostym swą długością — to Mekka, do której na razie wstęp jest jeszcze wzbroniony: tu stoi w jednej linii długi szereg suto zastawionych stołów, to znaczy, w danym wypadku, sprzętów, przy których się stoi.

Z wielkiej sali, w rogu, rozwarte na oścież białe ze złotem podwoje prowadzą do gobelinowej komnaty — buduaru, o przyćmionych kolorach mebli i dywanu na całą posadzkę i świetlach dyskretnych. Tu można półoficjalnie palić, jest gdzie wygodnie usiąść i wygodnie szeptem plotkować.

Na rautach zamkowych Dwudziestolecia nie było zwyczaju dawania gościom muzyki, śpiewu. Dawano wrażenia żołądkowe (główna atrakcja) i wzrokowe. Gdy się widziało taką galę pierwszy raz, widowisko było istotnie interesujące na pół godziny, no, na godzinę.

Na tle barwnych strojów damskich, fraków, smokingów i mundurów, nad ławiną wstęg i wstążek orderowych, gwiazd, galonów, akselbantów, haftów ambasadorskich, wyrasta ci naraz w tłumie barczysta postać w kardynalskiej czerwieni z purpurową piuską na wielkiej głowie, lub dla odmiany ujrzysz — niby makietę okrągłej niskiej baszty — kołpak z białego aksamitu, z krótkim białym welonikiem z tyłu i z brylantowym krzyżem na frontonie — „kłobuku" metropolity (pastorzy i wielki rabin nie wyróżniali się niczym z ogólnej męskiej czerni).

Naraz robi się z gwaru szybko cichnący szum; tworzy się szpaler. Szybkim krokiem, w szczęku ostróg asysty i bez uśmiechu, jakby to była rewia wojskowa, w szaroblękitnym mundurze bez dekoracyj przechodzi przez salę i skręca do buduaru... On. „Za nim wosled nieslis tołpoj sii ptiency..." coś mi się ochapia z „Połtawy" Puszkina... Ale to nie „ptiency" (pisklęta) — to już dobrze opierzone koguty — zadziory, poniektóre nawet na pół kapłony wyglądają zgalwanizowane na chwilę w ruchach obecnością wodza... Wierna gromada wydeptująca gorliwie własną „ścieżkę obok drogi" — ścieżkę, kończącą się... na moście w Zaleszczykach, w pamiętnym wrześniowym wyścigu na łeb na szyję przodowników... wiania.

Nie sprawiło mi tego dnia kłopotu wsuwanie pod sztywny kołnierzyk komandorskiej wstążki orderu Polonia Restituta — bo go nie miałem! Ale miał go Wacław Berent. Zobaczyłem go i podszedłem: stał samotnie pod ścianą wielkiej sali, żeby mieć cały spektakl przed sobą, przed swymi błyszczącymi dziwnym, wewnętrznym światłem oczami, które dojrzały ducha wczesnego Renesansu w późnym średniowieczu, w czarującej, przez tak mało głów w Polsce zrozumiałej książce „Żywe kamienie", gdzie „Madonna" i „Pani Venus" przyjaźnie się do siebie uśmiechają.

Berent nie miał na sobie orderu. Żadna barwna plama nie ożywiała jego wieczorowego stroju.

Zaczęliśmy na ten temat rozmawiać. Znakomity pisarz swym przygłuszonym, mało dźwięcznym głosem dowodził, że nosiłby odznaczenie, gdyby istniało *specjalne, wspólne dla pisarzy i nauczycieli*. „Bo nasze powołanie jest jednakowe: rzetelny pisarz jest nauczycielem" — powiedział.

W momentalnie powstałym skojarzeniu z niewzruszonym wyraźnie przez Berenta powodem zlekceważenia zaleceń protokułu gali na Zamku, zapytałem go, czy zna opinię o orderach Ninon de Lenclos, tej słynnej z urody, inteligencji i dowcipu Aspazji wieku Ludwika XIV.

Nie wiedział — więc mu powiedziałem:

Kiedy Cezar de Choiseul, marszałek Francji, został przez króla odznaczony za swe zasługi wojenne wysokim orderem św. Ludwika, przywdziewszy go odwiedził do swej przyjaciółki, w rozmowie nie mógł się powstrzymać od spoglądania na swą świeżą dekorację. W pewnej chwili Ninon de Lenclos zmrużyła złośliwie swe piękne oczy i, kładąc mu rękę na ramieniu, rzekła: „Mój drogi, jeśli jeszcze raz zerkniesz na ten order, to ja ci zaraz przypomnę, k t o j e d n o c z e ś n i e z t o b ą o t r z y m a ł..." Podobno to momentalnie poskutkowało.

Berentowi ta historyjka ogromnie się podobała.

Wacław Rogowicz

S Y N O W I E

(Dokończenie ze str. 1)

w suterenach, aby ogrzać się nieco i wychłeptać zupę z brukwi, którą przywozili nam w metalowym termosie. Zupa śmierdziała żelazem, ale zawsze liczyliśmy na to, że da nam coś zeżreć kucharz, który gotował dla oficerów.

Kończyliśmy już jeść, gdy przyszła z góry Maryśka, pokojówka Stanickiej z oznajmieniem, iż starsza pani prosi młodszego z panów cieśli na górę. Otrzepałem kombinezon i poszedłem za kolebiącym się zadem Maryśki.

Siedziały obydwie w salonie na pokrytych pokrowcami fotelach — ze ścian odłaziły wyblakłe tapety. Starsza miała nogi okręcone elastycznym bandażem, on widać było przez pończochy. Zwyczajnie —



miała żyłki. Obute były obydwie w domowe pantofle z króliczej sierści. Po wymianie kilku zdawkowych komplementów zaprosiły mnie na pogawędkę wieczorną, miał przyjść ksiądz wikary.

Pojąłem, że kobiety te wietrzą w powietrzu intrygującą historię à la Harun Al Raszyd, że niby cieśla, a tu w gruncie rzeczy Bóg wie kto. Obiecałem złożyć wizytę.

Wytaszczyłem Stasiaka z głębi korytarza, gdzie miętosił jedną z dziewczyn i poszliśmy kończyć krycie dachu szopy. Zawsze, gdy się Stasiak rozprał w porze obiadu, wieczorem opowiadał mi niekończące się ballady o swych miłosnych przewagach i drapał się przy tym z chrzęstem, bo wszy mu nadzwyczaj dokuczały.

Umyłem się czysto w kuble i wdziałem nowe drelichy. Stasiak pożyczył mi krawat, a wypucowane na czarno pastą drewniaki prezentowały się nie najgorzej. Przywołałem na pomoc ducha dzielnego wojaka Szwejka i poszedłem do pałacu. Gdy wychodziłem zgrzytnąwszy drzwiami, Makuch odsapnął i powiedział, walcząc z zadyszką.

— Możesz im pan tam powiedzieć ode mnie, że Makuch się kłania.

— Daj spokój stary, daj spokój — mitygowała go pośpiesznie żona.

Zdziwił mnie ton zajadłości, jaki dźwięczał w odezwaniu się Makucha. Człowiek ten bowiem zazwyczaj ważył swe słowa i ruchy tak, jakby nosił w sobie niebezpiecznego ... obawiał się go zbudzić. W istocie lękał się ataku astmy.

W salonie pań Stanickich było tak samo jak w południe z tym, że zmrok zalegał kąty pokoju, przez co nie występowała tak jaskrawo brzydota oskubanych ścian. W sieci kryształowych wisiorków żyrandola jarzyła się najprawdziwsza, mleczna żarówka.

Starsza pani szydełkowała — snuła starą wełnę z kłębka uwięzionego w błękitnej szklanej kuli. Młodsza nalewała herbatę do filiżanek, częstując mnie i wikarego ciasteczkami, pozostałymi chyba jeszcze od Nowego Roku.

Opowiadałem o powstaniu oczywiście. Mówiłem w ten sposób, aby nie zaangażować własnej osoby w tok opowiadania. Ględziłem o bohaterstwie żołnierzy ze zgrupowania „Parasol". Kontaktowaliśmy się z tym zgrupowaniem dosyć często i miałem niejakie pojęcie o wyczynach chłopców tej jednostki. Zasłaniałem się tym „Parasolem" jak mogłem najdokładniej. Ostatnim bowiem głupstwem jakie mógłbym uczynić, byłoby napomknienie choćby o swoim właściwym stosunku do sprawy powstania i jego inspiratorów. Teraz zwłaszcza, gdy przed kilkoma dniami zapukał późnym wieczorem do chaty Makuchów „Witek", dowódca plutonu „Wola" i zapisaliśmy w trudnym tutejszym terenie sieć AL-owskich komórek.

Księdza obchodziła rola kleru w powstaniu. Zdejmował i zakładał binokle, czyszcząc je, gdy zachodziły mu parą herbaty. Ciekawie wyglądał po zdjęciu szkieł. Oczy uciekały mu w głąb, a natomiast w dwójnasób ostro sterczał do przodu jego chudy, zmaltretowany uciskiem binokli nos.

Po prawdzie męczyłem się okropnie. Wszy zdumione moją nieruchliwością, cięły wściekle, a do tego obawiałem się, że która wyjdzie niespodziewanie zza kołnierza i zacznie spacerować po kurtce. Ponadto zaburczało mi kilka razy w żołądku. Odgłos ten, od którego wibrowało moje całe wnętrze, był tak dobitny, iż nie wiele pomagało tuszowanie go wzmożonym potokiem elokwencji.

Godzina policyjna którą wprowadzono ostatnio w okolicy, a o której starsza z pań wspominała dyskretnie i z utyskiwaniem, skróciła czas tej koszmarnej dla mnie wizyty. Młodsza z pań zaprosiła nas na sobotę. Opuściłem pałac w towarzystwie wikarego i odprowadziłem go na plebanię. W drodze opowiadał mi pokrótce historię rodu Stanickich, streszczając ją do najważniejszych wydarzeń w życiu tej rodziny. Czasu bowiem mieliśmy już nie wiele, a i wikary mieszkał niezbyt daleko od pałacu.

— Słyszał pan zapewne o tragedii, jaka była udziałem pani Stanickiej. Śmierć jej syna, powieszonego rok temu wraz z dwudziestoma młodymi chłopami z okolicznych wiosek, których zorganizował w oddział partyzancki, przekreśliła raz na zawsze jej nadzieje na powrót dworu do dawnej świetności. Rozmaite istnieją pogłoski, dotyczące przyczyn zdekonspirowania się oddziału i śmierci tych ludzi. Najuporczywiej powtarzaną, a moim zdaniem i najsłuszniejszą, jest wersja mówiąca o tym, że zawiniła w całej sprawie zbyt wielka ufność, jaką obdarzał młody pan Stanicki swego byłego administratora niejakiego Brauna. Nazwisko to nię powinno być panu obce.

Istotnie, nie było mi obce, nosił je folksdojcz — wójt tutejszy, ostatnie bydlę i SA-man na dokładkę. Kiwnąłem zatem ze zrozumieniem głową.

— ...Nie wiem, czy zdaje pan sobie sprawę z tego, jak trudno jest



zmienić swój stosunek do człowieka, którego się zna od dziecka i któremu zawierzało się od lat najmłodszych swe tajemnice — dodał wikary tonem usprawiedliwienia — Zwłaszcza w rodzinach ziemiańskich, gdzie administrator jest często jakby członkiem rodziny, a przynajmniej uczestniczy i wie o wielu sprawach, które wymagają niejakiej dyskrecji. — Wikary zamyślił się i szedł przez chwilę w milczeniu zapatrzony w swój cień, wywołany przez światło księżyca. Myślał zapewne o ułomności ludzkiej, która każe popełniać dla srebrników miłych sercu gesty Judasza. Ja zaś rozważałem od strony fachowej konspiracyjny grzech młodego dziedzica. Nię mogę powiedzieć, aby uczucia, jakie żywiłem dla jego cienia, były choć odrobinę zabarwione współczuciem. Najprzykrzejsze jednak z całego wieczoru było pożegnanie z księdzem, który błogosławił mnie na środku szosy i kreślił nade mną znaki krzyża. Żenowało mnie to, zwłaszcza, że nie wiedziałem, co się w takich wypadkach księdzu odpowiada. Bełkotałem zatem coś pod nosem o Bogu, który ma za coś księdzu zapłacić. Odszedł wreszcie szeleszcząc nogami w połach sutanny.

Nazajutrz Stasiak opowiadał mi, jaki wir powstał po moim wyjściu w chacie Makuchów. Wspominali o kosztownym procesie, który wiedli ze starym Stanickim o klin roli. Stanicki proces wygrał.

Makuchowa przypominała o łotrostwach, jakich dopuszczał się na okolicznych chłopach i sezonowych robotnikach rolnych. Obdarzała go epitetem „byk" i życzyła jego czarnej duszy wszystkich mąk piekła.

— ...Zalał im sadła za skórę Stanicki, na spółkę z tym swoim administratorem Braunem — kończył relację Stasiak. — Umilkli obydwoje, gdy doszli do młodszego Stanickiego. Wtedy zabrakło im chyba słów, bo najcięższymi obdzielili już poprzednio całą rodzinkę.

Stasiak spojrzał na mnie i dorzucił: — Na ciebie także psioczył Makuch. „Taki wydawało się przychylny — powiada — o reformie rolnej zagaduje, z chłopami niby trzyma, a patrz, przyszła okazja i do dworu poleciał do swoich". Powiadam ci, że względem agitacji to ty już z Makuchem nie gadaj. Raz, że już tobie nie wierzy, a po drugie, to on jest już przez samo życie lepiej zaagitowany niż zrobi to dwudziestu takich jak ty sraluchów. Oni tu już bracie od wieków tak żyją jak te... borsuki.

Stasiak zamilkł, wysmarkał się z wprawą i przerzucił na drugie ramię skrzynkę z narzędziami.

— A jeszcze teraz, kiedy go ten Braun do reszty przy zbieraniu kontyngentu wykończył. Wiesz, ja nie wiem, jak oni to wszystko wytrzymują. Ja bym już się dawno powiesił albo bym wyrwał grdykę temu szkopowi. — Stasiak zakrzywił swoje zrogowaciałe popękane od zimna szpony.

— ...A no opowiadaj hrabio, jak tam było wczoraj w pałacu?

Z kosych oczu Stasiaka wyjrzała zwykła ludzka ciekawość. Czułem niechęć do wspomnień wczorajszej wizyty. Pozostał mi po niej taki smak, jak po bimbrze, który we wsi pędził z buraków cukrowych niejaki Żyła. Bimber cuchnął piwnicznym, nieprzejednanym smrodem. Zbyłem zatem Stasiaka kilkoma zdawkowymi określeniami, dotyczącymi pań Stanickich.

Podobała mi się młoda Stanicka. Była wysoka, wyższa nieco ode mnie, tęga i niecodziennie zgrabna, zwłaszcza piersi sterczały jej natarczywie do przodu.

— Gdybym nie był taki zawszony, kto wie, może bym i spróbował — myślałem z żalem. To zawszenie urastało we mnie do rozmiarów kompleksu, czułem się jak trędowaty. Wyobrażałem sobie, że młoda dziedziczka kiśnie w tym swoim pałacu i wzbiera sokami jak ogórek w beczce. Ale i tego złudzenia pozbawiono mnie w czasie obiadu. Maryśka-pokojówka znalazła pod oknami młodszej pani kilka prezerwatyw i pudełko po papierosach „Juno".

Cienki śnieg w nocy stajał i wylazły z pod niego prezerwatywy. Maryśka opowiadała to wszystko Stasiakowi, chichocząc drobniutko jak świerszcz.

Żadne z okien przynależących do pokojów zamieszkanych przez oficerów niemieckich nie wychodziło na stronę wschodnią. Na tę stronę wychodziły tylko okna od apartamentów pań Stanickich. Wobec tego zastanawiałem się, czy nie wypadało by zrezygnować z sobotnich odwiedzin. Poszedłem jednak pragnąc dowiedzieć się szczegółów w sprawie Makucha w interpretacji „dworskiej". Przyszła mi z pomocą panna Wanda (takie imię nosiła młodsza dziedziczka), pytając gdzie i jak teraz mieszkam. Nabzdurzyłem im bowiem o bogactwach, jakie spłonęły w moim domu w Warszawie. Po jej pytaniu podniosłem oczy w górę i chwyciłem się dłońmi za skronie. Nakreśliłem następnie tragiczny obraz mego obecnego położenia i opowiadałem zagęszczając, o ile było to w ogóle możliwe, barwy o nędznym bytowaniu moich gospodarzy. Uparcie powtarzane nazwisko Makuch, odniosło zamierzony skutek.

— Młody człowieku — starsza pani odłożyła robótkę i pukała niecierpliwie palcem w poręcz fotela — pozwól pan sobie powiedzieć, że w istocie obojętnym mi jest los tego wieśniaka. I wierzaj mi, że na swe obecne położenie w pełni zasłużył dzięki swej krąbrności i głupocie.

— ...I bezbożności — dorzucił wikary, zapalając papierosa. Rozmowa potoczyła się wokół zagadnienia: „Liberalizm jako taki i jak go należy dozować w stosunkach z włościanami".

Młócili tę słomę, czemu ja przysłuchiwałem się z należną uwagą tak długo, aż panna Wanda przyniosła karafkę ze śliwowicą i kieliszki. Po wódce starsza pani roztkliwiła się, rozmowa weszła na tory bardziej osobiste.

— Pozwól pan sobie powiedzieć, młody człowieku, że syn mój podobnie jak i pan żywił przekonania liberalne, które przywiózł z Paryża, a jak na tym wyszedł (tu poczerwieniały jej powieki), o tym może panu dokładnie opowiedzieć ksiądz wikary. Ja nie czuję się niestety na siłach mówić o tym. Wando, przynieś album.

Wikary nagabnięty niespodzianie, skurczył się nieco i bąkał coś o tym, że historia jest powszechnie znana i nie ma potrzeby rozkrwawiać na nowo zabliźnionych już nieco ran.

— Jakto zabliźnionych? — spytała z urazą, dziedziczka — czyż sądzisz, ojcze wikary, że rany tego rodzaju mogą ulec zabliźnieniu?

Wikary spostrzegł, że wdepnął fatalnie i z widoczną przykrością rozpoczął opowieść, którą w schemacie znałem. Watował przy tym sformułowania w ten sposób, aby wszystko wypadło możliwie miękko. Przewidywał bowiem możliwość wywołania przykrych scen i pragnął tego nade wszystko uniknąć.

— ...Siermiężny lud — to było określenie syna pani. Twierdził on, że lud nasz jest pełen patriotyzmu i mimo swego niskiego poziomu intelektualnego posiada szereg wartości duchowych, które predestynują go na twórcę imperium polskiego, o którym marzą od wieków zarówno wodzowie nasi, jak i naród. Żydów — mawiał — wykończyli sami Niemcy. Tym lepiej, czystymi rękoma lud nasz chwyci za gardło drugiego największego wroga — komintern.

Przygładziłem mimowoli włosy na głowie, miałem bowiem uczucie, że mi się zjeżyły.

— Tak — podjęła dziedziczka — i oto ci sami chłopi, dla których poświęcił najlepsze lata swego życia, przywiedli go do zguby, wydali w ręce oprawców.

— Mówią — wtrącił wikary cicho — że w tej sprawie maczał ręce Braun...

— Och, nigdy bym nie posądzała o takie łotrostwo tego człowieka. Był i jest nadal zbyt oddany naszej rodzinie.

Nastała chwila najzupełniejszej ciszy.

Cisza była zupełna, zląkłem się, iż obecni posłyszą szmer wywołany przez wszy, buszujące mi pod koszulą.

Rozpoczęło się oglądanie albumu. Z fotografii otwierając zbiór patrzył na mnie starszy ode mnie gość, łysiejący nawet z lekka ubrany w sportową, rozpiętą pod szyją koszulę. U nóg warował mu wielki czarny wilczur. Dalej były zdjęcia z Paryża takie, jakich się spodziewałem przy wieży Eiffla, przed pałacem Inwalidów, przed Louvrem itd. Po tym następował portret w korporanckiej czapce, przy szpadzie, ze wstęgą biegnącą w poprzek piersi, fotografia w gronie podobnie wysztyftowanych kolegów z kielichami w dłoniach. I tak dalej i tak dalej, aż do nagusa na niedźwiedziej skórze.

Od dłuższej zresztą chwili nie zwracałem uwagi na oglądane fotografie. Przysłuchiwałem się jak narastał w plątaninie szkiełek żyrandola cichutki, uparty dźwięk. Nie, nie myliłem się, oto żyrandolowi zawtórowały szyby w oknach a zwłaszcza jedna, widać luźniej obsadzona, dzwoniła zupełnie wyraźnie. Podniosłem do góry dłoń ostrzegawczym gestem. Wówczas oni przestali szeleścić kartkami i zastygli tak jak aktorzy w ostatnim akcie „Wesela". Na dole w kwaterach oficerów ktoś raz i drugi chlapnął głośno drzwiami. Radosne przeczucie przerodziło się w mym mózgu prawie w pewność. Pożegnanie z paniami nosiło cechy niejakiego popłochu. Gnałem za wikarym po schodach pałacu tak prędko jakby ta rudera już waliła mi się na plecy. Tym razem pożegnał mnie szybko i biegł prawie szosą ku plebanii.

Niepotrzebnie się śpieszył, miał jeszcze tydzień czasu na to, aby przygotować się do zmian jakie miały nadejść dla tej części kraju.

Przez cały ten tydzień nie podobna było usiedzieć na miejscu zwłaszcza, że „Witek" znikł z okolicy, a na punkcie w Hojnach Strynkiewicz mógł nam niewiele powiedzieć. Twierdził on, że „Witka" przytrzymali towarzysze w mieście i zaprzęgli go tam do jakiejś pilnej roboty.

Sądzone nam było, że właśnie w tym momencie siedzieć będziemy z założonymi rękoma.

Jakoż w dniu tym, gdy ofensywa przetaczała się przez naszą wioskę, tkwiliśmy ze Stasiakiem przy oknie gapiąc się na czołgi, które z łoskotem mknęły po szosie jak rozwścieczone słonie. Spod gąsienic bryzgały w górę zmarznięte



bryłki końskiego nawozu a pomiędzy opłotkami długo niebieszczył się ciężki dym spalin. Dym falował ponad rozlewiskiem zatęchłych, wsiowych bajor i spowijał w woale wierzby sterczące nad rowami jak czarne, włochate pięści.

Trwało to do wieczora. Mijały wioszczynę żelazne pojazdy, tonące po kolei w czerwonym bagnie zmierzchającego u końca szosy słońca.

— Będzie jutro mróz i wiatr — mruknął Makuch, powróciwszy do chaty ze dworu. Napoił konia jak codzień i martwił się, aby zwierzę, zdenerwowane całodziennym warkotem i odgłosami detonacji nie pokaleczyło się w stajni. W izbie dzwoniły szyby i nawet papierowe kwiaty szeleściły wokół obrazu Madonny Częstochowskiej. Sypał się z nich zestarzały kurz. A tak nic się nie zmieniło. Tylko stary, blaszany zegar przestał chodzić, bo się w nim coś od tego łoskotu obsunęło.. Nocą nadciągnęły konne tabory i piechota. Zakwaterowali. Nawet u Makucha, w najnędzniejszej chałupie we wsi, spało na glinianej podłodze przyprószonej słomą trzech brodatych, zarośniętych po oczy taborytów. O świtaniu wioską kolebały piękne śpiewy krasnoarmiejców. Najgłośniej śpiewano we dworze. Wśród tego śpiewania przybiegła do Makuchów Maryśka. Chlapnęła drzwiami i pokiwała palcem na gospodarza. Potem coś mu klarowała pospiesznie zerkając na nas. Makuch prostował się powoli, spojrzał na nią z obrzydzeniem i powiedział cicho i spokojnie.

— Poszoł won, rozkrako jedna i żeby twoja noga więcej w moim domu nie postała.

Maryśka wybiegła coś tam skamląc piskliwie. Później przyszły obydwie panie. Starsza prosiła Makucha o furmankę. Pragnęła, by ją odwiózł do miasta odległego o 20 kilometrów. Tłumaczyła lapidarnie, że konie zabrali jej uciekający Niemcy, a jednocześnie sołtys dał jej do zrozumienia, że nikt z gospodarzy nie pojedzie obawiają się bowiem, by nie zarekwirowano im w drodze koni. Przychodzi zatem do Makucha. — Wasz koń Makuch, jest podobno taki marny, że nikt się na niego nie połaszczy.

Makuch wstał z ławy i teraz pochylił się, zaciążył nad kobietami swym wielkim, kościstym ciałem. Pracujące w pośpiechu żebra unosiły mu kurtę na bokach.

— Marny koń... taki marny, że drogi do miasta nie wytrzyma. Co dzień rano go z ziemi podnoszę, a i sam ledwo gnaty dźwigam. Wyście mnie do tego przywiedli. — Ostatnie słowa ryknął tak głośno, że wzdrygnąłem się na pościeli. — — Zgnoiliście nasz bez reszty, łajno, oto co jestem! Nie mam z wami nic do mówienia więcej i lepiej już idźcie sobie. — Dziedziczka rozejrzała się bezradnie po izbie. Dojrzała mnie i Stasiaka na pryczy, rozchełstanych i kudłatych od snu. Instynktownie podciągnąłem koc pod brodę. Popatrzyła rozpaczliwie na Makucha.

— Makuchowa, proszę was przez pamięć naszych synów... — — Tylko mi o synu nie mów nie mów mi o synu, nie mów mi o synu... — krzyknęła cienko Makuchowa, odżegnywując się od jej słów dłonią. Chwyciła się zaraz za serce i usiadła ciężko na łóżku. Makuch odezwał się znowu cicho i spokojnie, a nuta wielkiego, zwierzęcego żalu drgała w jego głosie:

— Jabym wam wszystko darował. Ale tego, że syn wasz zabił w moim chłopaku jego chłopski rozum, że odwiódł go od chłopskich batalionów, a później zaprowadził na szubienicę, tego wam nie mogę odpuścić. Dla mojego chłopaka teraz byłoby życie. Odejdźcie już — Popatrzył na nie ze wstrętem: — Odejdźcie, bo was lejcami pogonię. — Kobiety wyszły na srebrną szosę i oddalały się zwolna depcząc grudki końskiego nawozu. Długo było widać ich czarne sylwetki. Starsza kroczyła ciężko opierając się na kiju. Poprzedzały je dwa długie cienie, wywołane przez wschodzące słońce.

Stasiak wyskoczył w gaciach z łóżka i patrzył za nimi ziewając przepastnie. Kiwnął głową jakby uznał wszystko za prawidłowe i bąknął: — A jednak poszły na piechotę. — Przeciągnął się rozkosznie, aż mu chrustnęło w barach.

Bohdan Czeszko

Związek Autorów, Kompozytorów i Wydawców

ZAIKS

poszukuje następujących autorów, kompozytorów i artystów plastyków, względnie ich spadkobierców:

Brodziński Leopold; Biernacki-Rodoc Mikołaj; Czechowicz Józef; Czyżewski Tytus; Łuszczewska-Deotyma Jadwiga; Ehrenberg Kazimierz; Gliński Kazimierz; Hertz Jan Adolf; Koerner-Karbowska Teresa; Goldszmid Henryk: Korczak Janusz; Kwiatkowska-Gordon Fanny; Maciejewski-Sewer Ignacy; Mehoffer Józef; Niewiadomski Stanisław; Orłowski-Reiff Tadeusz; Pajzderska-Hajota Helena Janina; Raczkowski Edward; Rubczak Jean; Szlechter Emanuel; Szulc Bruno; Szutkiewicz Jan (autor „Popychadła"); Zalewski-Jastrzębiec Władysław; Żółtowska G.

Zainteresowani zechcą łaskawie, w związku z ochroną ich praw autorskich, zwrócić się pisemnie pod adr. „ZAIKS", Warszawa, Śniadeckich 10.

Związek Zawodowy Literatów Polskich

Związek Zawodowy Literatów Polskich Oddział Warszawski uprzejmie prosi rodziców, wdowy i sieroty po zmarłych pisarzach członkach ZZLP o zgłaszanie osobiste lub piśmienne danych o sobie (wiek, warunki materialne, czy korzystają z zasiłków i jakich), oraz podanie wyczerpujących danych o śmierci i miejscu pochowania i stanie grobu zmarłych pisarzy.

Rejestrację przeprowadza **Komisja Opieki** przy oddziale warszawskim ZZLP (Warszawa Śniadeckich 10) do dnia 1 lipca br.

ARTUR MARYA SWINARSKI

RECENZJE TEATRALNE

1.

Państwowy Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego w Katowicach. — **Adam Ważyk:** „Bankierzy ruin", komedia w trzech aktach. Reżyseria: **Wanda Wróblewska.** Dekoracje: **Wiesław Makojnik.**

Adam Ważyk napisał obrazek rodzajowy z Warszawy anno 1945, komedię z dyskretną podszewką morału, rozgrywającą się w środowisku kanciarzy mniejszego, większego i dużego formatu; komedię o inteligentym, dowcipnym dialogu, sceniczną i wesołą, która powinna co chwila budzić śmiech na widowni. Ważyk zawsze stara się rozdzielić sprawiedliwie światła i cienie na swe postaci. W „Starym dworku" przeszarżował trochę. Ale tutaj zagalopował się tak dalece, że im człowiek „gorzej urodzony", tym większa świnia; najpaskudniejszą snobką, mitomanką i szachrajką jest w „Bankierach ruin" dziewczyna pochodząca z ludu. Oto skutki zbyt przeczulonej wagi, bo kogo jak kogo, ale Ważyka chyba nikt o kryptoreakcyjność nie posądzi.

Podczas przedstawienia „Bankierów ruin" w Katowicach nie było wesołości na widowni, bo nie było jej też na scenie. Nie wiadomo, co strzeliło reżyserce do głowy, że tę komedię przetransponowała z olbrzymim wysiłkiem na tragedię prawie, na „białą tragedię" bez trupów... Kanciarzy wyprała z lekkości i niefrasobliwości warszawskiej; do każdego zdania przywiązała kamień młyński, że dowcip utonął, a na scenie roztoczyła się atmosfera wampiryzmu i demoniczności. Biedny Ważyk sam rozpłakałby się na swej komedii. Życzę mu, by w warszawskiej „Placówce" Perzanowska pokazała „Bankierów ruin" takich, jakich napisał.

W Katowicach powierzono reżyserię debiutantce. Błąd nie do wybaczenia. Już w zeszłym sezonie reżyserował w Katowicach dobrą sztukę Krystyny Grzybowskiej, „Siostry", debiutant, i nie wyszło to sztuce na zdrowie. „Komedianta" Bodnickiego, sztukę co prawda bardzo słabiutką, oddano w Krakowie również w dziewicze ręce młodego reżysera, który dobił ją do reszty. Niech sobie reżyserują Fredrę, jemu nic nie zaszkodzi, ale startujących autorów powinno się otoczyć czułą opieką, przecież nie mamy ich znów tak wielu, — powinno się ich poprzeć i wesprzeć najlepszymi reżyserami i aktorami.

Z wykonawców „Bankierów ruin" jedyna **Michnowska** (Doboszowa) odtwarzała to, co stworzył Ważyk. Reszta zespołu konsekwentnie realizowała fałszywą koncepcję reżyserki, ale w ramach tej koncepcji grała bez zarzutu. Dialogi Elizy z Tornerem **(Wydrzyńska i Hierowski)** pozwalały się domyślać, jaka by to była zabawa, gdyby to nie była tragedia. **Erwan** (Prząśnik) znalazł rolę niczym na jubileusz. **Rydel** (Feliks) rozwija się w tempie przyśpieszonym **Żardecki** (Kobuz) wyglądał zbyt młodo i delikatnie jak na żołnierza, który brał udział w hiszpańskiej wojnie domowej; ale zrobił sobie tak sugestywne wejście, że aż zastanawia skąd chłopak, który jest pierwszy rok na scenie, bierze tyle siły. Będzie z niego prawdopodobnie aktor w rodzaju Łomnickiego, na którego stawialiśmy w „Odrodzeniu" po jego „chłopcu z deszczu" („Dwa teatry") i który, jak się to mówi: „nie zawiódł pokładanych w nim nadziei".

Dyrektor Krasnowiecki ma w zespole kilku młodych ludzi, czyniących pierwsze kroki na scenie; powierza im nieraz role odpowiedzialne i zawsze trafia. Rydlowi oddał w „Krakowiakach i góralach" swoją rolę Bardosa i Rydel mu wstydu nie zrobił Trudną partię Stacha w tej sztuce kazał śpiewać i tańczyć Żardeckiemu i Żardecki śpiewał i tańczył jak stary. Młodziutkiej debiutantce, Krystynie Miecikównie, wpakował od razu Klarę w „Ślubach panieńskich" i dała sobie doskonale radę, a jej Esterka w „Uczniu diabła" zniewoliła twardego Jaszcza w „Dzienniku Polskim" do najczulszych komplementów... Zresztą podobne eksplozje talentu wydarzają się i w innych teatrach, szczególnie w mniejszych (Kielce Bielsko, Opole), — więc ma scena polska zapewnioną jak najlepszą przyszłość. Trzeba tylko jeszcze znaleźć kilku nowych, dobrych polskich autorów dramatycznych...

2.

Miejski Stary Teatr w Krakowie. — Konstanty Simonow: „Harry Smith odkrywa Amerykę" sztuka w trzech aktach. Przekład: **Aleksander Baliński.** Reżyseria: **Władysław Krzemiński.** Dekoracje: **Andrzej Stopka.**

Sławną sztukę Simonowa, znaną pod tytułem „Zagadnienie rosyjskie" w Rosji, w Łodzi, w Poznaniu, w Londynie i w kilku miastach amerykańskich, zagrano w Krakowie pod tytułem „Harry Smith odkrywa Amerykę"... Zamaskowanie utworu chciano podobno przeprowadzić jeszcze radykalniej i na afiszu miast nazwiska Konstantego Simonowa umieścić nazwisko — Jerzego Zawieyskiego ale publiczność poznałaby się pewnie na tej mistyfikacji, bo sztuka zbyt dobra

Po prymitywnie skleconych „Rosjanach", po naiwnej apoteozie powstania czeskiego „Pod kasztanami Pragi" (której nawet sami Czesi grać nie chcieli) — dał Simonow nareszcie sztukę całkowicie dramatyczną, sceniczną i krwistą; dialog w niej wartki, zmotoryzowany, pełen ostrych spięć. Sztukę przy tym nie agitatorską. Zagadnienie rosyjskie nie jest tutaj istotą utworu (co jednakże nie upoważnia do zmiany jego tytułu!); mogłoby to być w innej konstelacji politycznej zagadnienie polskie albo zagadnienie niemieckie. Dzieje Harry Smitha który ośmielił się być nie takiego zdania jakiego mu być kazano, to jest rdzeń sztuki Simonowa.

Ale widocznie reżyser nie chciał uwierzyć, że autor sowiecki potrafi napisać sztukę nie agitatorską. I zrobił wszystko, co mógł, by się nią stała. Pogrubił ją — to tak jak gdyby ktoś sonatę skrzypcową zagrał na bębnach. Przyprawił sensacyjnie, popstrzył „gierkami". Kazał (względnie pozwolił) Kurnakowiczowi wyrwać z butonierki czerwony goździk, rzucić go z pasją na podłogę, a włożyć do butonierki biały... Kazał (względnie pozwolił) Białoszczyńskiemu zakończenie sztuki wykrzyczeć na widownię, wiecowo, demagogicznie. I tak dalej.

Najzabawniejszy paradoks krakowskiego „Smitha": — widz odnosił wrażenie, że sztuka dzieje się wprawdzie w Ameryce, ale wśród Polonii amerykańskiej. **Castori** (Jessie) wyglądała, jak gdyby przyjechała do Nowego Yorku wprost z dworku polskiego. **Kurnakowicz** (Mac Pherson) mówił zapamiętale z akcentem kresowym. **Solarski** (Tom) był „soûl comme un Polonais". **Białoszczyński** (Smith) marzył jak Słowianin, romantyczny, anielski, — tymczasem Harry Smith jest trochę łobuzem i naciągaczem. Polski, arcypolski także **Kondrat** (Robert); zresztą tak potrafił rozgrzać widownię, że transmisja radiowa śmierci Roberta rozgrywająca się w samolocie trzynaście tysięcy metrów nad Nowym Yorkiem, była najmocniejszą sceną widowiska.

Scenograf **Stopka** spisał się bardzo dobrze, bo się nie popisywał; biuro Mac Phersona i bar dyskretnie harmonizowały z Simonowem, a mieszkanie Harry Smitha przypominało trochę willę w Juracie, co znów dyskretnie harmonizowało z tą całą słowiańszczyzną krakowskiego „Harry Smitha".

3.

Stefan Otwinowski: „Dobra wróżba", komedia w trzech aktach. Reżyseria: **Włodzimierz Ziembiński.** Dekoracje: **Andrzej Stopka.**

Zrodzona w przerwach prapremiery opinia, jakoby „Dobra wróżba" była złą sztuką, jest dla autora poniekąd komplementem, bo „Dobra wróżba" to w ogóle nie sztuka, — ale niewątpliwie dzieło sztuki. Delikatna nowela o cieniutkich dialogach, sentencjach i maksymach, o iskierkach point tak nikłych, że nie potrafią rozpalić widowni, bo przeważnie gasną jeszcze po tamtej stronie rampy.

Jest w utworze Otwinowskiego spora dawka poezji; jest dobrego gatunku humor;; są żywi ludzie. Ale tuż obok — papier; papier co prawda najprzedniejszej sorty, welin, powiedzmy. Rzemiosło dramatyczne jeszcze gorsze niż w „Wielkanocy", chwilami dyletanckie! Nie ma akcji, są za to monologi — z musu, nie ze stylizacji (...dlaczego ten zdolny powieściopisarz uparł się, by robić sztuki teatralne?). I od czasu do czasu irytujący brak znajomości swych własnych bohaterów. Jest tam na przykład taki kulturalny ziemianin, który wyrabia bardzo artystyczne lalki, a nie wie (anno 1947!), kim właściwie był Marks... (Przypomina się Ważyk z tym swoim sławetnym polowaniem na kaczki... z chartami).

Jeszcze jeden powrót! Tym razem wraca z Anglii inwalida — deklamator, i to w ostatniej chwili, bo już miał mu sprzed nosa sprzątnąć narzeczoną inny deklamator, który swą szlachetną deklamacją rozbudza trochę gniazdo rezydentów, leniuchów, mamutów, symulantów i łagodnych wariatek — i w nagrodę za to chciałby porwać z gniazda pannę domu, ale porywa tylko, pozyskanego dla nowej rzeczywistości, darmozjada.

Stary Teatr obszedł się z „Dobrą wróżbą" jak najpieczołowiciej. **Ziembiński** obsadził ją dobrymi aktorami **(Relewicz Barwińska, Karbowski, Mrożewski, Luboradzki)** zagrał sam nader niewdzięczną rolę jednego z deklamatorów; wyreżyserował sztukę z całą gorliwością, szedł autorowi z pomocą, gdzie tylko mógł, wytworzył autentyczny nastrój próchniejącej mamutowni, który wzmocnił jeszcze **Stopka** swą dekoracją. Tak właśnie powinny dyrekcje podchodzić do młodych dramatyków: grać nawet ich słabsze utwory i dać im na poparcie najsilniejsze barki.

Artur Marya Swinarski

• Film • Film • Film • Film •

RODZINA FROMENT

Ta francuska saga rodu Forsytów, obejmująca cztery pokolenia pomiędzy latami 1870 a 1939, posiada wyraźny sens polityczny. Przesuwające się przez ekran daty pokazują, iż na cztery pokolenia przypadają aż trzy niesprowokowane agresje niemieckie na Francję. Zaraz na wstępie częstuje nas Duvivier wycinkami z niemieckiego Wochenschau z czerwca 1940 r.: wśród głuchej ciszy artyleria niemiecka przejeżdża przez Pola Elizejskie. Na chodniku obok Arc de Triomphe stoi garstka apatycznych cywilów.

Rodzina Froment nie jest żadną nadzwyczajną rodziną, nie jest bynajmniej jedną z owych legendarnych pięciuset, które rządziły Francją. Przeciwnie. Fromentowie to typowi mieszczanie francuscy, których thiersowska III republika wyciąga z nizin społecznych i pozwala im szybko porastać w piórka. To też akcja tocząca się w 1870 w wiejskiej chałupie na Montmartre, przenosi się w 1900 do saloników w stylu secesji, a w 1921 do wnętrza nowoczesnego domu mód, urządzonego z amerykańskim zbytkiem.

Procesy awansu społecznego przebiegają zresztą dwukierunkowo: degradację społeczną reprezentuje giełdziarz-Marsylczyk, lądujący na stanowisku dozorcy. Duvivier, który lubi szermować niespodziankami montażu, wprowadza nawet tak egzotycznych członków rodziny, jak ginącego w dżungli afrykańskiej pioniera kolonialnego, czy szefa tragicznej ekspedycji lotniczej w Kordylierach.

Wszystko to jednak dzieje się niedaleko na marginesie tematu głównego, a tym jest właśnie sprawa trzykrotnych inwazji niemieckich i ich wpływu na losy rodziny Froment. Istotnie każda z nich wyrywa któregoś z członków rodziny i każe mu ginąć za ojczyznę. Nie podoba się to reżyserowi, który raz po raz zmusza widza do refleksji, zupełnie zresztą niegłębokich, na temat: dlaczego atakuje się ludzi, którzy chcą żyć, kochać się i zarabiać.

I w tym kluczowym punkcie polski widz wymyka się z pod uroku Duviviera. Film jest płaczliwy, skarżący się: „Myśmy im nic nie zrobili, więc czemu oni?" W ten sposób nie szerzy się prawdy, ani sensu koszmarnych lat, które przeżyliśmy. Ale najbardziej rażący i niewłaściwy jest końcowy wydźwięk filmu: ostatni potomek rodziny Froment zmobilizowany odchodzi w 1939 r. Jego dziadkowie modlą się: „Byle tylko wrócił! Niech się dzieje, co chce, byle tylko wrócił!"

Z takich nastrojów wyrosło w wymierającej Francji — Vichy.

BITWA O SZYNY

W ciszy gabinetu wielkiego dworca, na wielkim kratkowanym arkuszu, rysuje się wykresy ruchu poszczególnych pociągów Plan racjonalnej cyrkulacji narzuca niemiecki okupant — kolejarz francuski ze swej strony stara się równoległe linie wykresu pogmatwać, splątać i poprzerywać Wybuchają kotły parowozów, wylatują w powietrze węzłowe mosty, wykolejają się pociągi. Padają salwy plutonów egzekucyjnych i giną w walce o szyny leśni partyzanci.

Ale nadchodzi zwycięstwo, Marsylianka i trójkolorowe sztandary. I znów w ciszy gabinetu wielkiego dworca, na wielkim kratkowanym arkuszu, rysuje się wykresy ruchu poszczególnych pociągów. Teraz stać się mają jak najrównoleglejsze.

Taka jest treść i sens reportażu Renè Clémenta, którego trud reżyserski nagrodzono w Cannes złotym medalem.

Francuzi nie lubią filmów wojennych. Pamiętamy sprzed 1939 budujące reportaże z fortów linii Maginota, na których wypisywano czarno na białym „On ne passe pas!" (wstęp wzbroniony) To, oczywiście, wzmagało znakomicie poczucie bezpieczeństwa francuskiego mieszczucha. Była to swoista realizacja Monachium na odcinku filmowym.

Za wcześnie sądzić, czy ta niechęć do motywów wojennych, na korzyść bukolicznych akwarelek, została po wojnie przełamana, czy nie. W każdym razie widz polski otrzymał na koniec rzetelny i doskonale zrobiony reportaż z działalności francuskiego ruchu oporu na odcinku kolejowym. Przyznajmy od razu: reżyserowi powiodło się ambitne zamierzenie skonstruowania syntezy ruchu oporu. Droga, którą obrał, była drogą umiarkowanego realizmu Na żadnym odcinku kolejarze Clementa nie są wystylizowanymi schematami z „Ostatniego etapu". Maszynista, który zgodził się wykoleić pociąg w pełnym biegu, wcale nie ginie w bohaterskiej pozie, lecz najpierw ma wyraźnego stracha, a potem ratuje się, wyskakując. Zadanie swoje przecież wypełnia.

Scenariusz Clementa nie idzie po łatwej linii sprowadzenia akcji do wątka indywidualnych doznań i reakcji. Reżyseria Clementa ukazuje jednak masy ludzkie w zupełnie innym, niż eisensteinowskie, ujęciu. Wprost boję się używać słowa „masy".

Tłum w „Bitwie o szyny" jest pokazany przez niewielu reprezentantów typowych dla swego środowiska. Majstersztykiem roboty reżyserskiej jest właśnie fakt, że ci reprezentanci nie przestają być tłumem, nie stają się jednostkami. Celowi temu służy anonimowość postaci, wielość nieznanych twarzy, które ukazują się zwykle dla odtworzenia jednego tylko epizodu, a nawet bezimienność aktorów, którymi są — kolejarze francuscy.

Akcenty dynamiczne rozłożone są po filmie równomiernie. Pyszna jest scena przedostatnia: pozbawieni transportu Niemcy zwiewają na piechotę. Bitwa o szyny została wygrana.

Jerzy Płażewski

Notatnik muzyczny

Wydawnictwa muzyczne

Państwowa Muzyczna Rada Wydawnicza przy Polskim Wydawnictwie Muzycznym zebrała się onegdaj w Warszawie.

Obrady trwały dwa dni. W zasadzie rada — której członkowie mianowani są przez Ministra Kultury i Sztuki i która jest ciałem doradczym i opiniodawczym przy Ministerstwie — kierować powinna całym muzycznym ruchem wydawniczym w Polsce. W praktyce zakres jej prac ograniczał się dotychczas do największego naszego Polskiego Wydawnictwa Muzycznego.

Ze sprawozdań wstępnych dowiedzieliśmy się ciekawych szczegółów i cyfr:

Od wojny wydano blisko 200 pozycji, czyli że nasza dawniejsza produkcja została pobita i zdystansowana „na głowę". Pozycje te wydano w 335 000 egzemplarzy. Z tego, w cyfrach okrągłych, 46 200 z przeznaczeniem dla estrad koncertowych, 117.800 dla szkół muzycznych i 171.000 dla t. zw. „upowszechnienia" Piszę „tak zwanego", bo termin ten coraz bardziej dolega, brzmi, jak gdyby dzielono muzykę na jakąś „upowszechnioną" i inną, „czystą" czy „prawdziwą". O problemie tym pisał — w odniesieniu do literatury — Borejsza. W muzyce jest to samo. Upowszechniać trzeba dobrą muzykę, i basta. Może być ona dawniejsza, czy specjalnie dla tego celu tworzona, lecz nie może być inna, „piętrowa", jedna dla mas, druga dla znawców. Jeśli masy nie są przygotowane do słuchania „Patetycznej" Czajkowskiego, to na koncertach objazdowych dać im trzeba dobrą muzykę łatwiejszą, lecz nie jakąś inną, „upowszechnioną".

Stąd klasyfikacja na „estrady i „upowszechnienie" jest bardzo trudna i uważać ją należy przede wszystkim za skrót myślowy. Operując jednak nadal, dla uproszczenia, tymi terminami dowiedzieliśmy się, że z ogólnej cyfry sprzedaży sprzedano 17% materiału dla „estrad koncertowych", 27% dla szkół muzycznych i 55% dla „upowszechnienia". W pierwszym kwartale 1948 roku wpływy miesięczne ze sprzedaży sięgały miliona złotych a 30 pozycji wydawniczych jest wyczerpanych (11 dla estrad, 8 dla szkół, 11 dla upowszechnienia).

Cyfry te wykazują bezpodstawność zarzutów, którymi krytyka obarcza w niektórych artykułach Polskie Wydawnictwo Muzyczne. Nie przypuszczam, by chodziło tu o złą wolę i o rzucanie kłód pod nogi tej wspaniale funkcjonującej placówce. Wolę myśleć, że jest to tylko wynikiem nieznajomości faktycznego stanu rzeczy. Można zmienić i poprawić niejedno, lecz nie można przeczyć, by praca PWM była celowa i pożyteczna.

Komisje Rady przystąpią teraz do opracowania szczegółowego planu wydawnictw na najbliższą przyszłość. Poza jubileuszowym wydaniem Chopina, o którym napiszę osobno, uznano za najpilniejsze potrzeby szkolnictwa, bez którego nie sposób planować racjonalnego uprzystępnienia muzyki szerokim warstwom społeczeństwa ani wyobrazić sobie życia muzycznego kraju. Obok materiału pedagogicznego PWM wydawać ma tak nowy jak i dawniejszy materiał nadający się do rozpowszechnienia „w terenie" oraz muzykę — jak dotychczas — ochrzczoną mianem „estradowej" z tym, że w dziale tym uznano muzykę współczesną za dziedzinę powierzoną specjalnej pieczy tej instytucji. PWM nie jest bowiem jedynym naszym wydawcą muzycznym, wydanie dzieła współczesnego nie jest pilniejszą potrzebą od wypełnienia luk wydawniczych z przeszłości. Jednakże chodzi o to, by nie powtarzały się błędy popełniane dawniej i krzywdy w stosunku do kompozytorów żyjących, krzywdy, które sprawiały, że pokolenie Noskowskich, Żeleńskich, Statkowskich i Moniuszków nie doczekało się za życia wydania swych dzieł. Dlatego to PWM ma być nadal tą placówką, która pozwala normalnie żyć i rozwijać się polskiej twórczości muzycznej.

Wydawany pod auspicjami PWM dwutygodnik „Ruch Muzyczny" ukazuje się regularnie od pierwszych chwil po uwolnieniu i w stosunku do przedwojennych nakładów pism tego rodzaju — cieszy się sporą ilością czytelników. Nakłady jego stale wzrastają Rada przyjęła też z zadowoleniem do wiadomości fakt wznowienia pisma o bardziej specjalnym obliczu, „Kwartalnika Muzycznego", którego pierwszy numer ukaże się wkrótce.

Nie rozpatrując na razie działalności innych firm wydawniczych, zebranie Państwowej Muzycznej Rady Wydawniczej zakończyło swe obrady wyznaczając terminy zjazdów komisji, które ustalą wykaz dzieł do wydania w 1948 i 1949 roku.

Zygmunt Mycielski

• Książki • Książki • Książki • Książki

BELETRYSTYKA

„ŚWIĘTOKRADCA"
Tadeusza Kudlińskiego

Powieść, Warszawa, Książnica Atlas, 1947; str. 436.

Dziwna książka. Część pierwsza — „Pełnia" — bardzo piękna. Opis niezwykłej inscenizacji „Hamleta", balu, miłości Adama i Heleny — wyszedł spod pióra wielkiej miary artysty, bardzo ludzkiego, bardzo czułego na barwę, dźwięk i uczucie. Część druga — „Nów" — początkowo niepokojąca (historia szaleństwa malarza-kaleki), później dziwaczna i trochę śmieszna (konspiracja, jakiej nigdy nie było i być nie mogło), w końcu znowu ciekawa i niepokojąca (więzienie, wydobycie Adama z więzienia za cenę zdrady Janki). Część trzecia wreszcie — „Nowik" — już tylko dziwaczna i przykra Stronice, na których główny bohater powieści, Adam, poparty przez sympatyzującego z nim autora, poważnie głosi hasła ideologicznego i praktycznego powrotu do średniowiecza, trudno czytać bez ostrego sprzeciwu wewnętrznego. Tym ostrzejszego, że z poprzednich, miejscami bardzo frapujących intelektualnie, części dałoby się wyciągnąć zupełnie inne wnioski. Całość jest napisana oryginalną i bogatą polszczyzną, ukraszona wstawkami poetyckimi, — i, niestety, bardzo niewyraźna w swym ostatecznym wydźwięku.

Wiktor Woroszylski

„WERTEPY"
Leopolda Buczkowskiego

Powieść, Warszawa, Gebethner i Wolff, 1947; str. 229 i 1 nl.

Nie wiem czemu książka Buczkowskiego, ukończona w 1937 roku, nie została wydana przed wojną. Prawdopodobnie odegrały tu rolę jakieś uboczne względy, ale nie wydaje mi się pozbawioną podstaw i ta hipoteza, że to cenzura nie godziła się na wydanie książki o kresowej wsi polskiej. Taka jest bowiem siła dominujących w naszej epoce motywów politycznych, że książka z pozoru tym sprawom najdalsza okazać się może przy „bliższym oglądzie" bezpośrednio im podporządkowana.

I tak beznadziejna, ponura opowieść Buczkowskiego o wegetującej wiosce, opowieść naturalistyczna, obnażająca z pozoru jedynie pewne elementy natury ludzkiej okazuje się przecież i słowem jakiegoś oskarżenia. U podstaw tej smutnej książki leży nie żaden ekspresjonistyczny grymas, wyrażający nieokreślony metafizyczny niepokój. Jeśli wyraża ona „sól istnienia" w określonym miejscu i w określonym czasie.

„Żarnowiecki zostawił robotę koło traczki, biegał po wsi, wypytując:

— Bezkiszki, wy Polak?

— A szczo będzie?

— Do szkoły idźcie, narada będzie.

— Karcaba, wy Polak?

Karcaba, chłop ogromny i powolny, jak stary wół, pocierając czarnymi palcami zapocony łeb, zapytał:

— Co znaczy Polak?

— Cholera was wi, jak to powiedzieć, żebyście rozumieli.

Buczkowski wie „jak powiedzieć", co to była kresowa zapadła wieś przed wojną Dziwna, ciemna miłość nauczycielki Chrobowskiej i księdza Samosaczyńskiego, sprawy koniokrada Huka, ojcowski daremny trud Szeremety, by jego Tomku „wyszedł na ludzi", postaci policjantów — wszystko to utopione w strzępiącej się, luźno skomponowanej opowieści, daje obraz dziwnego życia prawdziwego przecież — z ulgą się myśli: kiedyś, gdzieś...

R. Bratny

PRZEKŁADY

„ROK 1793"
Wiktora Hugo

Warszawa, „Wiedza", 1948; str. 434.

Stary Wiktor Hugo wcale się nie zestarzał. Wprawdzie wracając do jego powieści czyta się je z większym krytycyzmem niż we wczesnej młodości (któż w swoim czasie nie przeżywał wielkich wzruszeń nad lekturą „Nędzników" czy „Dzwonnika z Notre-Dame"?, ale patetyczne malowidła słabną i niemal całkiem zanikają wobec nieprzemijających uroków narracji wielkiego romantyka.

Spół. Wyd. „Wiedza" przystąpiła właśnie do wydania powieści Wiktora Hugo i redakcję „Dzieł" powierzyła Jarosławowi Iwaszkiewiczowi. Na początek ukazał się „Rok 1793" w dobrym przekładzie Juliana Maliniaka. To grube tomisko pochłania się jednym tchem. Cóż za wspaniały rozmach epicki w tej powieści osnutej na tle wojny domowej w Wandei! Jaka przy tym ostrość i dramatyczność dialogów i jaka imponująca trafność w zwięzłym wartościowaniu czynów, zdarzeń i charakterów. Pomimo pewnej, epoce właściwej koturnowej stylizacji bohaterzy Wiktora Hugo żyją i ich potężne sylwetki, wsparte przeważnie na jednej namiętności lub jednej idei, na długo pozostają w pamięci. Warto wracać do autora „Nędzników".

ja

POPULARYZACJA WIEDZY

„PRZECHADZKI ATEŃSKIE"
Władysława Witwickiego

Warszawa, „Wiedza Powszechna", 1947; str. 248.

Prof. dr Władysław Witwicki, znany i ceniony pedagog, w ośmiu zeszytach „Propyleje", „Nike bezskrzydła", „Naokoło Partenonu", „W Partenonie", „Powrót z Akropolu", „O rzeźbach starogreckich", „Rozkwit rzeźby w Helladzie" oraz „Rzeźba hellenistyczna" daje najniezbędniejsze, podstawowe wiadomości z architektury, rzeźby, sztuki plastycznej greckiej. Osiem tych zeszytów stanowi zamknięty cykl — książkę. Jest ona nie tylko podręcznikiem ważnym w szkolnictwie średnim. Każdy czytelnik znajdzie w niej dużo wiadomości o starożytnej Helladzie. Dowie się co właściwie znaczy „fryz", „architraw", „tympanon" itp. Nauczy się odróżniać style budowlane joński, dorycki. Zdobędzie na całe życie solidne podstawy orientacyjne w rzeczach sztuki. Przejrzystość, przystępność wykładu doprowadzona jest przez prof. Wł. Witwickiego do nadzwyczajnego, swoistego tylko jemu gawędziarskiego stylu, trafiającego łatwo do pamięci ucznia, samouka, przygodnego czytelnika, szukającego treściwej pouczającej lektury. Z góry trzeba uprzedzić, że „przechadzki ateńskie" nie zawierają nowych odkryć, nowych syntez. Zadowalają za to pod każdym względem, jako jasno, przystępnie, umiejętnie napisany podręcznik. Liczne ilustracje siatkowe i barwne znakomicie wspierają i uzupełniają wykład prof. Witwickiego.

Książka ta przy samokształceniu może oddać duże usługi. Prof. dr Witwicki jest wielkim orędownikiem helleńskiej sztuki Udziela się to i czytelnikowi jego gawędy „Przechadzki ateńskie".

Z. Moronowicz

W NASTĘPNYM NUMERZE
W KĄCIKU KLUBU LITERACKIEGO
»ODRODZENIA«
ZAMIEŚCIMY WYWIAD
z
WACŁAWEM RZECZACZEM

Literatura i ludzie

Czasy, w których żyjemy, mają tę właściwość, że oddzielają od siebie wyraźną oceną nie tylko gatunki literackie, lecz także gatunki ludzkie.

W ostatnim numerze „Nowin Literackich“ znajdujemy kolejną wypowiedź Edwarda Csato o realizmie: „Pojęcie to — czytamy — ma jednak tę słabą stronę, że jest mgliste, nieokreślone, uporczywie nie daje się zdefiniować...“ Tego rodzaju mącenie dyskusji, jest ostatnim ogniwem bardzo przejrzystej, naszym zdaniem, działalności, mającej na celu świadome zasnuwanie oparami mętniactwa tego co dyskusja o realiźmie wyjaśniła już wszystkim. Na przekór jednak próbom Edwarda Csato jesteśmy świadkami unoszenia się oparów mętniactwa z wszystkich dziedzin krytyki, nie tylko literackiej. Zasłona dymna, ten ostatni manewr, którym starają się ocalić stracone pozycje, rozwiewa się pod nieubłaganym tchnieniem historii; obnaża związki między sprawami polityczno-społecznymi i sprawami każdego człowieka. Czy Csato chce, czy nie chce, czy zdaje sobie z tego sprawę, czy nie—jest właśnie przykładem postaci narysowanej realistycznie, w sensie polityczno-społecznym. Ten sam mętniacki liberalizm, ten sam relatywizm pełen na pozór ludzkich skrupułów, charakteryzujący niektóre wypowiedzi naszych pisarzy o sprawach literatury, był właściwy do niedawna całym systemom politycznym. Ale czasy nasze są do brutalności konsekwentne w rozpędzaniu zasłon dymnych. Zaprzestano owijania spraw w bawełnę. Amerykańskie koncerny filmowe poszły już po tej linii. Miejsce realizmu zajmuje „Eskapizm“. Ekrany zaludniają się duchami i sprawami nie z tego świata. Ale te duchy z amerykańskich filmów, to widma bez ciała, mleczni bracia Edwarda Csato, podczas gdy duchy Armanda Salacrou to ludzie z krwi i kości, walczący o sprawy ludzkie. Walczący o lepsze jutro.

Wystarczy odwiedzić warszawskie knajpy i bary, by zobaczyć amerykański film eskapistyczny. Zobaczymy duchy snujące się po tym niebie bankrutów między stolikami i bufetami, w chmurach dymu i oparach alkoholu, szukające prawdy o życiu w pijackiej czkawce. Jeżeli spotkamy tam Edwarda Csato w charakterze duchabywalca, nie będziemy zdziwieni. Przeciwnie potwierdzi to tylko naszą realistyczną metodę budowania postaci.

Zdarzenia, których jesteśmy współtwórcami, sprzyjają realizmowi. Realistycznemu myśleniu, realistycznemu pisaniu. Doświadczenie uzbroiło nas w okrutny, bezlitosny instrument, pozwalający określić człowieka na podstawie paru wypowiedzi. Więcej, potrafimy nawet przewidzieć, co duch-bywalec powie w przyszłości, w nowej, rozwijającej się ciągle sytuacji.

Jan Rojewski

P. S. Wróć, nic nie było! Może Csato naprawdę nie wie, co to jest realizm, romantyzm, literatura?

PRZEPIS NA ARTYKUŁ

Weź tuzin prądów dziejowych,
Trzy średniej wielkości aspekty,
Zemlej dokładnie humanizm,
Utłucz w moździerzu eklektyzm,
Daj trzy cytaty z Carnapa,
(Kto go nie czytał, ten gapa.)
Dodaj reakcji trzy ziarna,
(Reakcja musi być czarna.)
Mieszczaństwa, materializmu,
egzystencjonalizmu
Łyżkę do każdej stronicy,
I usmaż w ogniu kuźnicy.

Antoni Słonimski

DWA BAROKOWE WIDOKI MIAST POLSKICH

Widoki obcych miast budziły niegasnące zainteresowanie, jak świadczą o tym coraz nowe ich ryciny. Do bardzo rzadkich należą widoki miast śląskiego rytownika Fryderyka Bernarda Wernera, co zapewne należy przypisać ich dużym wymiarom (110 cm. x 40 cm.), nie przyczyniającym się do przetrwania zawieruch dziejowych.

Fryderyk Bernard Werner urodził się w 1690 roku w Rychnowie koło Kamienca w powiecie ząbkowickim na Śląsku. Uczęszczał do gimnazjum jezuickiego w Nysie. Naukę w szkole przerwało mu wcielenie do wojska, w którym na skutek protekcji podpułkownika barona von Bettendorf mógł się poświęcić sztuce inżynierskiej. Uzyskuje wkrótce zwolnienie z wojska i odbywa wędrówkę przez Norymbergę i Insbruck do Palatynatu. Tutaj zostaje ochmistrzem dworskim u pułkownikowa barona Schlauersbacha i udaje się z nim na leże zimowe na Węgry. Niespokojny to jednak duch ten nasz Ślązak, gdyż wkrótce porzuca służbę u Schlauersbacha i udaje się znowu na wędrówkę przez Graz do Karyntii. Z powodu dżumy zamknięta była droga do Włoch, gdzie chciał odszukać pierwszego swego protektora Bettendorfa. Zostaje więc wędrownym lekarzem w Karyntii, a wkrótce dostaje się w stopniu porucznika do armii hiszpańskiej cesarza Karola VI również z powodu dżumy przymusowo zatrzymanej w Karyntii. Niedługo jednak nosił Werner mundur porucznika; niebawem zostaje kopistą u księcia biskupa Karynthii von Gurka. I tutaj nie zagrzewa miejsca, lecz udaje się w nową wędrówkę poprzez Bratysławę i Monachium do Pragi, gdzie na wiosnę 1715 roku spotykamy go na stanowisku „dyrektora maszyn“ w teatrze barokowym hr Sporcka. Zamieszany w jakiś pojedynek ucieka do Linzu. Zatrzymuje się wreszcie w Wiedniu, gdzie zdobywa środki do życia tłumaczeniem tekstów operowych dla wędrownej trupy komediantów. Wreszcie na skutek protekcji hr. Sporcka otrzymuje posadę kancelisty magistrackiego w Ołomuńcu. Mimo nadania mu miejskiego obywatelstwa nie zagrzewa miejsca. Niebawem zostaje zarządcą arsenału u gubernatora Kroacji generała hr. Heistera. Jego nowy chlebodawca umiera nieoczekiwanie i Werner w towarzystwie przygodnego wędrownego handlarza książek i sztychów poprzez Wiedeń i Monachium przybywa na Śląsk, gdzie zawiera w Byrdzy w dniu 18 października 1718 roku związek małżeński z córką jakiegoś kupca z Ząbkowic. Przyjmuje go do służby znowu hr. Sporck. Prześladuje go śmierć chlebodawców, gdyż i hr. Sporck rozstaje się z życiem. Werner obejmuje posadę pomocnika kancelisty w biskupiej kancelarii we Wrocławiu.

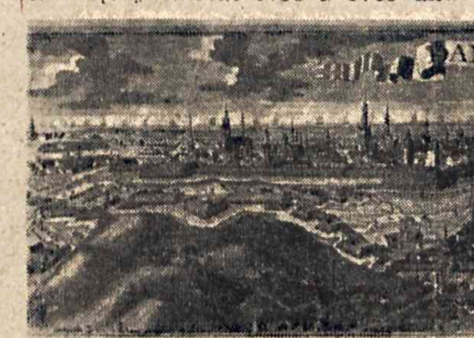
Umiejętności rytownicze Wernera zwróciły uwagę szeregu nakładców z Augsburga, którzy zlecają mu sporządzenie rysunków „Miast, zamków, ogrodów, kościołów, pałacy, in summa wszystkiego, co godne widoku“. Niespokojny artysta, który sam siebie nazywa Śląskim Robinsonem, przyjmuje chętnie to zamówienie, uwarunkowane licznymi podróżami. Odbywa długą podróż po Polsce, Prusach, Pomorzu, Brandenburgii, Saksonii, Łużycach, Meklenburgii, Holsztynie i zatrzymuje się w Jutlandii w twierdzy Stade, gdzie niezadowolony z niskiego wynagrodzenia augsburskich nakładców wdziewa znowu mundur porucznika. Wywiera to zamierzony skutek, gdyż nakładcy z Augsburga przez podwyżkę wynagrodzenia skłaniają go do podjęcia przerwanej podróży. Zawiera przyjaźń z malarzem miniaturzystą Pawłem Heineckem w Hamburgu, który zajmował się angażowaniem malarzy do fabryk porcelanowych. Werner obejmuje kierownictwo tymczasowe 32-ch takich robotników malarskich do nowo założonej manufaktury porcelanowej w Groningen, po czym zwiedza Holandię, Francję i zachodnie Niemcy. W 1729 roku przebywa w Augsburgu. W następnym roku podróżuje po Włoszech, gdzie w Rzymie zostaje przyjęty na audiencji przez papieża Klemensa XII. Dociera aż do Sycylii i wraca przez Piemont, Szwajcarię i Alzację do Niemiec. W lipcu 1731 roku przebywa znowu w Augsburgu, a zimę spędza we Wrocławiu. Siedem następnych lat mija mu na rozległych podróżach po Niemczech, Węgrzech, Polsce, Szwajcarii i Alzacji. Z wykonanych przez niego widoków miast sądzić należy, że zwiedził również Hiszpanię i Anglię.

Wreszcie w dojrzałym wieku ustatkował się, wrócił na Śląsk, skąd nie robi już większych podróży. W 1739 roku zostaje geometrą dworskim biskupa wrocławskiego kardynała Filipa Sycendorfa. W r. 1742 przechodzi jako inżynier na służbę pruską, w 1744 roku zostaje pruskim scenographusem i redaktorem, od 1747 do 1766 roku jest w stopniu inżyniera-porucznika urzędnikiem departamentu budowy w pruskiej Kamerze Wojny i Domen we Wrocławiu. W 1758 roku wstąpił po raz drugi w związki małżeńskie. Umarł we Wrocławiu w 1778 roku.

Pozostawił liczne prace graficzne. Między latami 1730 a 1740 ukazały się w Augsburgu w trzech tomach: „Sławne miasta Europy“. Duży format rycin (110 cm. x 40 cm) nie wpłynął korzystnie na dochowanie się do naszych czasów pełnych kompletów, stąd nikła jest o nich literatura. Nie ustalono, jakie obejmowały miasta i jakie były odmiany poszczególnych wydań.

Reprodukujemy widok Warszawy, oznaczony nr. 81 oraz widok Gdańska, oznaczony nr. 46. Piękny jest widok barokowej Warszawy, pełnej wież chociaż oddany z rozciągniętą perspektywą, aby mogły znaleźć miejsce wszystkie ciekawsze budowle. Na prawym brzegu Wisły widzimy zabudowania Pragi, nie istniejące jeszcze na sztychu ze zbioru widoków miast Brauna i Hogenberga. Ładny jest również widok Gdańska, ze śmiesznie rozstawionymi okrętami na horyzoncie. W podróżach po Polsce Werner narysował widoki szeregu innych polskich miast, jak Nysy, Szczecina Malborku.

Widok Warszawy z około 1730 r.



Widok Gdańska z około 1730 r.

Homann wydał dzieło Wernera „Scenographia urbium Silesiae“. Na wzmiankę zasługuje również zbiór widoków dwudziestu klasztorów Cystersów na Śląsku, Morawach i w Czechach oraz zbiór widoków 173 protestanckich kościołów. W kilkutomowym rękopisie porozrzucanym po różnych zbiorach zachowała się „Topographia Silesiae“ naszego artysty z ręcznie kolorowanymi rysunkami, zawierająca wszystkie ważniejsze budowle śląskie.

Stanisław Szenic

JANUSZ MINKIEWICZ

CZTERY KALAMBURY LITERACKIE

KISIEL

Kisiel jest to chłopak,
Co wszystko chciałby na opak,
Innymi mówiąc słowy,
To mąż o p a c z n o ś c i o w y.

O ZAWISTNEJ POETCE DLA DZIECI PISZĄCEJ

Gdy czyta Brzechwę, boleje
I blednie z zazdrości na fiolet:
— Gdyby go... — myśli — ...olejem...
Bo polska z niej Elza (Wi) Triolet.

KOTT

Kott, jako Zoil jest znany;
O jego krytycznym zaś płodzie
Ktoś rzekł: — Standard (Z) Oil Company
(W nazbyt gorącej wodzie)...

O WZDYCHAJĄCYM DO ANGLII PISARZU KATOLICKIM

Wciąż się modli pod figurą
A Churchilla ma za skórą...
W swych politycznych łamańcach
Jest do Times'a i do różańca.

CAMERA OBSCURA

CO TYDZIEŃ NAGRODA 1000 ZŁ.

Zwracamy się do czytelników „Odrodzenia“ z prośbą o współpracę w dziale **„Camera obscura“**. Prosimy o przysyłanie dzienników, czasopism, broszur, ulotek i innych wydawnictw, z ustępami kwalifikującymi się do „Camera obscura“ pod adresem: Redakcja „Odrodzenia“, **Warszawa, Daszyńskiego 14,** dział „Camera obscura“. Ustęp taki należy **wyraźnie oznaczyć,** najlepiej kolorowym ołówkiem. **Komentarze nie są potrzebne.** Do przesyłki należy dołączyć imię, nazwisko i adres wysyłającego. Redakcja nie zwraca nadesłanego materiału i zastrzega sobie prawo wyzyskania go w dziale „Camera obscura“. Za najlepszą rzecz danego tygodnia redakcja przeznacza **nagrodę w wysokości 1000 zł.,** którą ma prawo dzielić lub w razie braku odpowiedniej kandydatury, przełożyć na następny tydzień.

Nagrodę zł 1000 otrzymał czytelnik, który nadesłał wycinek z „Rolnika Polskiego“. Ponieważ nie podał ani nazwiska, ani adresu, przekazaliśmy nagrodę „Czytelnikowi“ na budowę „Domu Słowa Polskiego“.

JAK ZOSTAĆ POETĄ?

Dowiadujemy się o tym z „Listów do młodych poetów“, nadawanych w „Rolniku Polskim“ przez St. Czernika:

Niechże nikt nie ma złudzeń, że o wierszu stanowi rym, że gdy zestawi się wyrazy: blady—sady, lody—ogrody, to już z tego powstanie wiersz. Przenigdy! Może w wierszu nie być ani jednego rymu, może być ułożony bez przepisów (których znajomość jednak jest bardzo użyteczną) a może w tym być poezja.

Zależy to od umiejętności patrzenia na otaczający nas świat. Kto, patrząc na płot, widzi tylko kołki, kto patrząc na sosnę, widzi tylko sosnę, temu trudno zostać poetą, gdyż nie ma poetyckiego spojrzenia. Kto zaś patrzy na płot i w każdym jego drążku spostrzega jakieś inne zjawisko, gdy jeden przypomina mu żołnierza, inny pajaca, jeszcze inny jakąś żyrafę, gdy umie nie tylko tak porównywać, ale ożywiać te zjawiska, wyobrazić sobie jakąś scenę przy tych cząstkach płotu, jakby jeden kołek z drugim prowadził rozmowę, ten posiada wyobraźnię czyli fantazję, posiada poetyckie spojrzenie, i taki człowiek dopiero może być prawdziwym poetą. Inny przykład: rozżarzone węgle w piecu. Kto ma spojrzenie poetyckie, temu czerwone węgielki mogą nasunąć wyobrażenie różowych oczu królika i już ma piec napełniony żywymi stworzonkami i samorzutnie powstaje z tego piękna bajka poetycka.

Poezja nie polega naszym zdaniem na rozmowie jednego kołka z drugim kołkiem, ani tym bardziej na tym, by napełniać piec żywymi stworzonkami. Kto w trzy lata po Majdankach i Oświęcimiach stosuje podobne metafory dla uzyskania „pięknej bajki poetyckiej“, nigdy nie będzie poetą, bo nie wyobrażamy sobie poezji bez człowieczeństwa.

ROZPACZLIWE „ZNAKI“

W numerze 6-tym Dwutygodnika Katolicko-Społecznego „Znak“, wychodzącego w Lund, Szwecja, czytamy w rubryce „Wiadomości z Kraju“:

M a ł o p o j ę t n e P o l k i. Zarząd Miejski w Warszawie obłożył kobiety studiujące specjalnym podatkiem mieszkaniowym oraz uznał, że w ogóle „kobiety nie zasługują na stypendia, gdyż ich studia są bezcelowe“. Co więcej nawet dziennik „Rzeczpospolita“ (organ p. Minca), w styczniu br. napisał: — nasz naród nie życzy sobie kobiet z wyższym wykształceniem i z odrazą patrzy na studentki, które za kilka lat zaczną swą hałaśliwą działalność na rozmaitych terenach.

Przecieramy oczy. Okazuje się bowiem, że „Rzeczpospolita“ jest organem Kurii Warszawskiej i realizuje już od stycznia br. hasła nowego Kolegium Reakcyjnego!

Jedno pytanie pragniemy zadać Wojciechowi Bąkowi. Czy autor „Piątej Ewangelii“ wie o tym, że na drugiej stronie tegoż „Znaku“ wydrukowano jego wiersz: „Jak mi nie wierzyć“... Jeżeli nie wie, zechce na pewno wyjaśnić tę sprawę ze „Znakiem“, podajemy mu wobec tego adres: Lund — Anggatan 6 c. — Jeżeli jednak wie, pragniemy mu pomóc w znalezieniu odpowiedzi na pytanie „Jak mi nie wierzyć?“ Niech sobie przeczyta w „Znaku“ rubrykę „Wiadomości z Kraju“ i z miejsca przestanie wierzyć.

Bez względu na to, jaką odpowiedź otrzymamy na te powyższe pytania, widać, że pewni ludzie w Szwecji i w Polsce porozumiewają się wzajemnie rozpaczliwymi „Znakami“...



SŁUŻBA POLSCE!

Od ob. Adama Kisielewicza, naucz. szk. powsz. w Bierutowicach, woj. wrocławskie, otrzymaliśmy plakat następującej treści: „Służba Polsce — wyrazem dążeń milionów młodych polek i polaków!“ Jak donosi ob. Kisielewicz „...afisze te przez kilka dni głosiły naszemu miastu, że odtąd Polak i Polka pisze się małą literą“.

Prosimy ob. Dyrektora drukarni, oznaczonej na plakacie literami „P. W. Z. Gr. O. 8 zam. 157 F 27046“, by zechciał sprawdzić, kto w podległej mu drukarni służy w ten sposób Polsce. Czyżby Polak? Na Ziemiach Zachodnich?

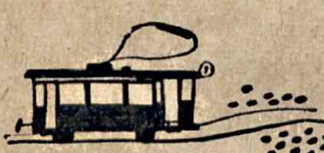


OWOC WYSIŁKU

W „Życiu Warszawy“ czytamy:

W ub. roku jesienią nawozem dzisiejszej nowej Marszałkowskiej, przebitym wśród gruzowiska, ruszyły tramwaje. Połączyły one odległy Żoliborz ze Śródmieściem. Był to owoc wysiłku młodzieżowych Hufców Pracy.

Właśnie! Właśnie! Przypominamy sobie, że przechodząc kiedyś Nową Marszałkowską spostrzegliśmy tysiące młodych ludzi, kucających w bardzo dwuznacznych pozach. Zapytani przez nas co robią, odpowiedzieli: „Na korektę „Życia Warszawy“!



OPERA

W „Expressie Wieczornym“ czytamy:

Z okazji gościnnego występu tenora opery Belgradzkiej Aleksandra Marinkovica wznowiono operę komiczną „Sprzedana narzeczona“. Znać było, że udział w operze czeskiego gościa ożywił cały zespół.

Już chcieliśmy zapytać, od kiedy to Belgrad leży w Czechosłowacji, ale jedno spojrzenie na podpis pod wzmianką wyjaśnił nam wszystko. W porządku!! Autorem wzmianki jest ulubieniec naszych czytelników: Szymon Waljewski!

W poprzednim 17 (178) numerze „Odrodzenia“ z dnia 25 kwietnia 1948 r.: **Jerzy Borejsza:** Ideologia na śmietniku? — W piątą rocznicę powstania w ghetcie; **Wanda Karczewska:** Nad albumem „Stara Warszawa“; **Stanisław Wygodzki:** wiersz. — **Mirosław Krleża:** Odsyłają nas do Azji. — **A. Z. L.:** Sztuka Jugosłowiańska w Muzeum Narodowym. — **K. I. Gałczyński:** Służba Polsce. — **Mieczysław Jastrun:** Księżniczka Izraelska. — **Ewa Szelburg-Zarembina:** Wyjęta ściana. — **Wojciech Żukrowski:** Ręka ojca. — **Stefan Dębski:** O Franciszku Halasie. — Sztuka dla dzieci i młodzieży: **Stefan Szuman:** Styl bajkowy; **Maria Kann:** Nawet i cyprysy mają swe kaprysy...; **Julian Tuwim:** Gdyby... (Według S. Marszaka); **Klima Krymkowa:** O krytyce widowisk dla dzieci; **Aniela Mikucka:** Dorosłe spojrzenie na dziecinne sprawy. — **kjw.:** Szkoła krytyków: Strzały za płot. — **Tadeusz Breza:** Melpomena w nowym gnieździe. — Książki: Beletrystyka („Zielone lata“ A. J. Cronina; „Żywot własny“ Benvenuta Celliniego); Plastyka („Artur Grottger i Julian Fałat“ Mieczysława Wallisa). — **Zygmunt Mycielski:** Notatnik muzyczny: Muzyka na peryferiach stolicy. Upowszechnienie w „Romie“ — Wywiad z autorem „Zaczarowanej Dorożki“ — Z teki dra Prota Sowizdrzała: „Obraz czyli tabella obyczajów naszego miasta“. — Camera Obscura. — 11 ilustracji. — 8 stron.

REDAGUJE ZESPÓŁ. Adres redakcji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 16, telefon 85-588 — Redaktor przyjmuje od godz. 9 do 10. — Adres administracji: Warszawa, ul. Daszyńskiego nr 14, telefon 87-112 Konto w PKO nr I-4739.
Drukarnia nr 2 „Czytelnik“, Marszałkowska 3/5 Prenumerata miesięczna 80 zł, kwartalna 240 zł B-50646 Wydawca: Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik“